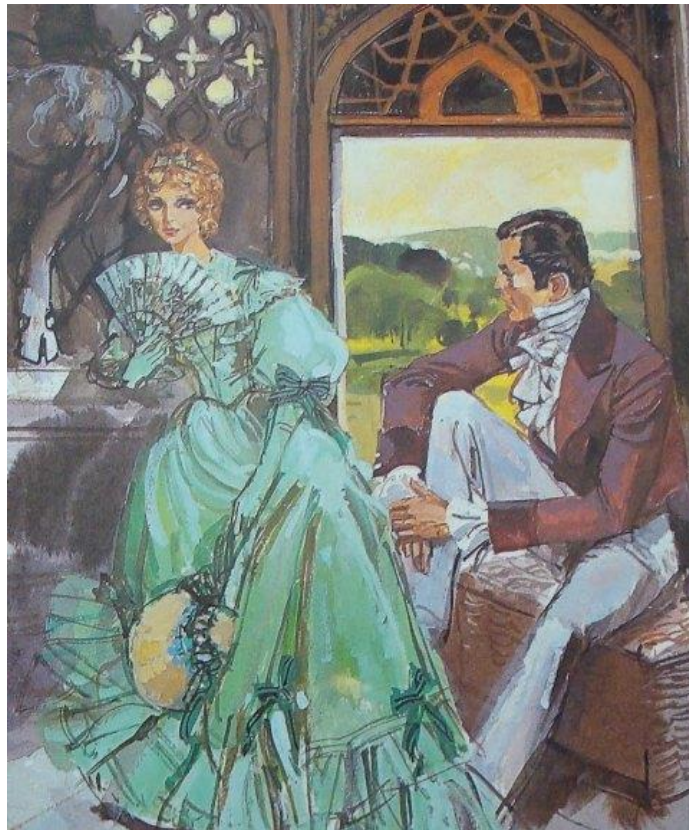


Barbara Cartland

Tajemniczy markiz

Love and the Marquis



Rozdział 1

1833

Hrabia Kinsclere spacerował nerwowo po przepięknym salonie, nie zwracając zupełnie uwagi na wspaniałe obrazy, porcelanę wielkiej wartości ani nawet na szklarniowe kwiaty ustawione na każdym stoliku. Wyraz jego twarzy był chmurny, a zmarszczki pojawiły się wyraźnie na obliczu podziwianym przez tyle kobiet. Zmartwienie wyrażało się w każdym jego ruchu i w każdym spojrzeniu. W końcu podszedł do stojącej w kącie tacy z alkoholami, niezbyt pasującej do kobiecego raczej urządzenia pokoju, i nalał sobie szampana. Wypił go chciwie, jakby był bardzo spragniony, a w końcu uniósł kieliszek ku górze i powiedział głośno:

- Za przyszłość!

Gdy dźwięk jego głosu wibrował jeszcze w powietrzu, drzwi salonu otworzyły się i kamerdyner zameldował:

- Lady Imeldra, milordzie!

Hrabia przypatrywał się ze zdumieniem młodej dziewczynie, która właśnie przebiegała przez pokój z zamiarem rzucenia mu się na szyję.

- Ach, papo, tak się bałam, że wyjedziesz przed moim przybyciem!

- Co ty tu robisz, Imeldro? - zawołał hrabia. - Zupełnie się ciebie nie spodziewałem.

- Nie dziwię się, papo, bo ja uciekłam!

Ramiona Imeldry oplótły mu szyję i pocałowała go w oba policzki, więc nie był w stanie odpowiedzieć. Wkrótce odsunął ją od siebie, żeby móc jej się przyjrzeć.

- Wyglądasz wprost olśniewająco! - powiedział.

- Cieszę się, że mi to mówisz.

- Jesteś bardzo podobna do swojej matki - rzekł hrabia cichym głosem jakby do siebie. - Matka była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Imeldra znów go pocałowała, lecz on przerwał te czułości.

- Jesteś mi winna wyjaśnienie - powiedział. - Czemu uciekłaś ze szkoły?

- Żeby się z tobą zobaczyć!

W oczach hrabiego zapaliły się iskierki.

- Nie wierzę, aby to był jedyny powód.

- Bo nie jest - odrzekła Imeldra. - Znalazłam się w kłopotliwej sytuacji i, jak sądzę, i tak zwolniono by mnie ze szkoły.

Hrabia roześmiał się.

- To bardzo możliwe - rzekł. - A teraz opowiedz mi o wszystkim. Czy nie napiłabyś się szampana dla dodania sobie odwagi?

- Czy mówisz poważnie?

- Sądzę, że jesteś już wystarczająco dorosła. Właśnie kiedy weszłaś, wznosiłem toast za przyszłość.

Spojrzała na niego pytająco.

- Niezbyt to do ciebie podobne, papo. Nigdy nie widziałam cię pijącego w samotności.

Hrabia nic nie odpowiedział. Nalał jej odrobinę szampana, a sobie napełnił ponownie kieliszek. Potem podszedł do okna i spojrzał na przebijające się przez chmury kwietniowe słońce. Pod oknem stały dwa krzesła i gdy oboje usiedli, zwrócił uwagę, że słońce wydobywa rude iskierki z jej złocistych włosów.

- Jesteś bardzo piękna, jak się tego spodziewałem - powiedział w rozmarzeniu.

Nie był to właściwie komplement, lecz stwierdzenie faktu. Oczy Imeldry miały niezwykły blask. Były ogromne i tajemnicze. Hrabia wiedział, że patrzący na nie mężczyzna będzie chciał zgłębić ich sekret. Zmusił się jednak, żeby zadać pytanie:

- Powiedz mi wreszcie, co cię tutaj sprowadza?

- Czy ty wiesz, papo, ile ja mam lat?
- Wystarczająco, żeby być jeszcze w szkole.
- Ależ skąd! Już od kilku miesięcy jestem najstarszą uczennicą, a to jest bardzo nieprzyjemne!
- Naprawdę? - zapytał hrabia.
- Przysięgam, że tak. Szczerze ci mówię, że nie mogę już tam więcej się uczyć. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, jakby spodziewając się sprzeciwu z jego strony, u potem ciągnęła dalej: - Jestem prymuską, najlepszą w każdym z przedmiotów. Podczas dorocznego rozdania nagród okazało się, że zebrałam wszystkie, co wprawiło mnie w wielkie zakłopotanie. A poza tym nie chciałabym spędzać w samotności Świąt Wielkanocnych.
- W samotności?
- Och, papo, musisz przecież pamiętać, że w szkole są ferie! Wszystkie dziewczęta z wyjątkiem mnie rozjeżdżają się w przyszłym tygodniu do domów.
- Lecz o ile pamiętam, zawsze organizowano też coś dla ciebie.
- Miałam to szczęście, że jedna z moich przyjaciółek zapraszała mnie na ferie świąteczne do swojego domu, lecz tym razem nie otrzymałam zaproszenia.
- A to czemu?
- W oczach Imeldry zapłonęły ogniki, a na jej twarzy pojawił się szelmowski wyraz.
- A jak myślisz? - uśmiechnęła się.
- Gdybym powiedział to, co myślę, mógłbym cię wpędzić w próżność.
- Zgadłeś. To jest właśnie przyczyną. Jestem za ładna! Moje przyjaciółki są już dorosłe i nie życzą sobie, żeby młodzi ludzie ubiegający się o ich względy kręcili się koło mnie.
- Jest to moim zdaniem zupełnie zrozumiałe - wyszeptał hrabia.

- To oczywiste, bo jestem córką moich rodziców, mojej mamy i mojego taty.

Gdy mówiła o matce, głos jej się załamał. Była też niemal pewna, że dostrzegła smutek w spojrzeniu ojca, zanim odezwał się:

- Teraz dopiero zaczynam rozumieć decyzję o opuszczeniu szkoły, Imeldro, lecz twoja ucieczka trafiła na bardzo nieodpowiedni moment.

- A to czemu?

Przez chwilę zdawało się, że hrabia szuka odpowiednich słów, potem wypalił bez ogródek:

- Ponieważ ja zamierzam zrobić to samo! Imeldra siedziała sztywno wyprostowana.

- Och, nie, papo, skąd ten pomysł?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - rzekł. - Tym razem będzie na pewno inaczej.

- Kochany papo, wiesz równie dobrze jak ja, że każda twoja miłość wydaje się niezwykła, dopóki nie staniesz się nią znudzony.

Hrabia wstał, jakby nie mogąc usiedzieć, przeszedł się po pokoju i wrócił na swoje miejsce.

- Masz rację, Imeldro - powiedział. - Znalazłem się w matni, lecz nic nie mogę na to poradzić. Na nic się zatem zdadzą twoje argumenty.

- Nie zamierzam cię przekonywać, lecz dopiero teraz widzę, że nie powinnam była zostawiać cię samego.

- To było najlepsze rozwiązanie - odezwał się hrabia. - Nie mogłaś przecież wieść życia, jakie ja prowadziłem. A obecnie dobrze się składa, że wyjeżdżam za granicę.

- Wyjeżdżasz za granicę? - Jutro.

- Z kim tym razem? Zdawało się, że hrabia nie ma ochoty wyjawiać prawdy, w końcu jednak powiedział: - Z lady

Bullington! Imeldra pomyślała chwilę, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- Czytałam o niej w gazetach. Piszą, że jest bardzo piękna.

- Istotnie! - zgodził się hrabia.

- Ależ papo, co ci przyszło do głowy, żeby uciekać właśnie z nią?

- Lord Bullington zamierza się z nią rozwieść, a wówczas postąpiłbym po dżentelmeńsku, gdybym dał jej swoje nazwisko.

- Ale to może trwać całe lata, wiesz chyba o tym.

- Wiem, wiem! - oświadczył hrabia. - Zamierzam zamieszkać w Wenecji, gdzie zakupiłem pałac.

- To wspaniale! Zawsze marzyłam o pałacu w Wenecji.

- Lecz zdajesz sobie chyba sprawę - powiedział hrabia ignorując jej odezwanie się - że nie możesz tam się pojawić, dopóki nie będę żonaty, i że byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś trzymała się ode mnie z daleka. - Wprawdzie Imeldra milczała, lecz hrabia dostrzegł smutek w jej oczach, więc usiadł obok niej i mówił dalej: - Drogie dziecko, musisz zachowywać się rozsądnie. Kiedy posyłałem cię do szkoły, tłumaczyłem ci, i zdawało mi się, że mnie rozumiesz, że nie życzę sobie, żeby mój tryb życia wpłynął na twoje życie.

- Tak nam było dobrze razem, papo - rzekła Imeldra. - Przez te dwa lata bardzo mi ciebie brakowało, lecz miałam nadzieję, obiecałeś mi to, że będę mogła wrócić do ciebie, gdy skończę naukę.

- Przypomnij sobie dobrze, co ci mówiłem - zaprzeczył hrabia. - Obiecywałem ci przecież, że kiedy dorośniesz, zostaniesz przedstawiona w towarzystwie i że uczynię wszystko, żeby cię przyjęto jak swoją matkę, kiedy była w twoim wieku.

- Ale ja nie przypuszczałam, że będę musiała żyć bez ciebie.

- Wiesz doskonale, że damy, które przyjmą cię z otwartymi ramionami, zignorują mnie - wyjaśnił hrabia.

- Ale jest wielu ludzi, którzy są ci przychylni - upierała się Imeldra.

- Lecz nie są to ci ludzie, z którymi chciałbym, żebyś się spotykała, i nie tacy, jakich towarzystwo zaaprobowałaby twoja matka. A przede wszystkim nie ci, wśród których mogłabyś poznać mężczyznę odpowiedniego dla ciebie jako przyszłego męża.

Imeldra milczała. Wiedziała, że postanowił odesłać ją przed dwoma laty do szkoły, gdy pewnego razu ujrzał, jak wyrwa się z objęć pewnego dżentelmena, który chciał ją pocałować. Hrabia spoliczkował go i zanim poszkodowany zdołał odzyskać przytomność, zrzucił go ze schodów rezydencji, którą zajmowali we Francji, i zakazał służbie wpuszczania go do domu.

Dopiero wówczas ojciec uświadomił sobie, że Imeldra wyrosła. Miała prawie szesnaście lat, nie była już dzieckiem i kontakty z jego przyjaciółmi, zarówno mężczyznami, jak też kobietami nie były wskazane. Musiała wrócić do szkoły w Anglii, a ponieważ kochała ojca, obiecała mu, że będzie się pilnie uczyć, żeby zostać damą w całym tego słowa znaczeniu. Jednak przez cały czas nie przestawała liczyć dni, kiedy znów będzie razem z nim, i wcale nie miała pojęcia, jakie plany żywi ojciec względem niej. Nie zdawała sobie sprawy, że spełnienie jego ambicji oznaczało dla niej rozdzielenie z człowiekiem, którego kochała najbardziej na świecie.

Teraz jej oczy napęłniły się łzami, kiedy odezwała się łamiącym się głosem:

- Jak możesz, papo, być wobec mnie tak bezwzględny?

- Wiem, kochanie, że brzmi to być może okrutnie - odrzekł hrabia - lecz ponieważ jesteś mi bardzo droga, ponieważ jesteś moim największym skarbem, nie mogę zniszczyć twojego życia łącząc je z moim.

- Ale ja kocham twój tryb życia, papo! Zawsze sprawiało mi ogromną radość podróżowanie z tobą po świecie, spotykanie ciekawych ludzi, wśród których jedni byli dziwaczni, a drudzy czarujący i niezwykli.

- Gdybyś była chłopcem, krąg moich przyjaciół byłby odpowiedni dla ciebie - rzekł hrabia. - Mogłabyś odebrać to, co nazywają „kosmopolitycznym wychowaniem”, lecz dla dziewczyny nie jest to najlepsze rozwiązanie.

- Dlaczego, papo, dlaczego? - zapytała Imeldra.

- Ponieważ, moja kochana, ty musisz wyjść za mąż, a jeśli sądzisz, że pozwolę ci poślubić jednego z tych niebieskich ptaków, którzy zakochując się w tobie będą liczyć przede wszystkim na moją fortunę, to się grubo mylisz!

- Ależ ja na razie nie zamierzam wychodzić za mąż za nikogo.

- Każda kobieta powinna o tym myśleć - odrzekł hrabia - a już na pewno tak piękna jak ty. Potrzeba ci mężczyzny, który by troszczył się o ciebie i chronił cię, a tacy dżentelmeni, których bym widział jako kandydatów do twojej ręki, nie bywają na moich przyjęciach, a jeśli nawet, to nie traktowaliby cię z należnym respektem.

- A to czemu? - zdziwiła się Imeldra.

- Ponieważ, jak mówi przysłowie, nie można dotknąć smoły i nie ubrudzić się. Musisz wiedzieć, że arystokraci, a zwłaszcza Anglicy pragną, żeby ich żona była czysta i niewinna i żeby, broń Boże, nie zetknęła się z „kosmopolitycznym wychowaniem”.

Imeldra roześmiała się, ponieważ sposób mówienia ojca wydał jej się zabawny. Zdawała sobie jednak sprawę, że ojciec

mówi prawdę. Kiedy przebywała z nim po raz ostatni, zauważyła, że choć ubierała się jak przystało młodej dziewczynie i nosiła rozpuszczone włosy, jednak wyraz oczu patrzących na nią mężczyzn był inny niż przed laty i że nie traktowali jej już jak dziecko.

- Nie mogę cię utracić, papo - powiedziała głośno. - Jesteś jedynym człowiekiem, do którego należę.

- To nieprawda - odrzekł hrabia. - Masz wielu krewnych i już skomunikowałem się z nimi. Porozumiałem się z ciocią Lucy, która zgodziła się przedstawić cię nu dworze.

Imeldra spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Z księżną? - zawołała. - O ile mi wiadomo, ona z tobą nie rozmawia.

- Ona kochała bardzo twoją matkę, a ja dałem jej słowo, że nie będę się do niczego mieszał ani starał z tobą widywać, jak długo pozostaniesz pod jej opieką.

- Papo, jak mogłeś obiecać coś tak strasznego i okrutnego?

- Przyznam, że nie było to łatwe - oświadczył spokojnie hrabia - lecz zrobiłem to dla twojego dobra.

Imeldra wstała i błędnym wzrokiem zaczęła wpatrywać się w rozciągający się za oknem ogród. Właśnie zakwitały żonkile, a pierwsze pączki pojawiały się na drzewach, lecz ona rozmyślała tylko o tym, że ciotkę księżną widziała raz w życiu na pogrzebie matki. Wydała jej się kobietą surową, zimną i stateczną, która spoglądała na każdego z góry.

Imeldra była jednak na tyle inteligentna, żeby zdawać sobie sprawę, że pod jej opieką zostanie przyjęta do najlepszego towarzystwa, na czym tak bardzo zależało jej ojcu. Wiedziała, że księżna pełni funkcję damy przybocznej u królowej Adelajdy. Była świadoma faktu, że reputacja jej ojca mogła być tolerowana za Jerzego IV, lecz nie pod rządami

króla Wilhelma i jego cnotliwej niemieckiej żony. Obecnie od wysokich sfer wymagało się nienagannej moralności.

W przypadku hrabiego miało to taki skutek, że podczas gdy za panowania poprzedniego władcy jego miłosne awantury były przedmiotem podziwu i zazdrości, tak teraz wywoływały okrzyki przerażenia u tych, co chcieli być przyjmowani u dworu. Ponieważ hrabia był niezwykle przystojnym mężczyzną, kobiety lgnęły do niego jak pszczoły do miodu, nic więc dziwnego, że często bywał wplątany w jakieś miłosne afery. Łatwiej było mu znieść żalobę po jedynej kobiecie, którą kochał naprawdę, to jest po matce Imeldry.

Hrabia był także zapalonym miłośnikiem wyścigów. Jego konie regularnie zdobywały najwyższe nagrody na wyścigach w Turf. W młodości był znany ze swych osiągnięć sportowych, wykazywał prawdziwe mistrzostwo w szermierce.

Mężczyźni podziwiali go i zazdrościli mu sukcesów, lecz ci, którzy byli żonaci, trzymali swoje żony z daleka - był zbyt niebezpieczny. Jeszcze za życia matki, kiedy rodzice znajdowali się razem w towarzystwie, Imeldra dostrzegała błysk w oczach kobiet na sam jego widok. Zdawała sobie z tego sprawę, że zanim on zdołał zwrócić na nie uwagę, one już posyłały mu tęskne spojrzenia, co czasami było zabawne, a nieraz wręcz irytujące.

„Chciałabym zobaczyć się z papą” - powiedziała raz do swojej guwernantki, kiedy ta zabawiała ją w pokoju dzieciennym, podczas gdy Imeldra miała ochotę zejść na dół.

„Teraz będziesz musiała nieco poczekać na swoją kolej” - odrzekła guwernantka szorstko.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że ojciec szybko się nudził kolejnym romanssem, a gdy to następowało, miał zwyczaj przenosić się w inne miejsce, Imeldra przypomniawszy sobie, jak

wyprowadzali się w ciągu dwudziestu czterech godzin z wynajętego w Rzymie pałacu, kiedy ojca przestała już interesować ciemnooka i namiętna piękność. Ojciec, zmieniając niespodzianie miejsce pobytu, unikał łez i pretensji, które niewątpliwie musiał powodować jego styl życia.

Ojciec z córką wybrali się kiedyś do Grecji, lecz podczas gdy ona zachwycała się Akropolem i Delfami, on nawiązał romans z pewną atenką, który trwał równie krótko jak romans lorda Byrona, i szybko opuścili ten kraj.

W Egipcie Imeldrze powiodło się nieco lepiej, bo ojciec nie znalazł żadnej współczesnej Kleopatry, a przedstawione na świątynnych murach kobiety były dużo atrakcyjniejsze od tych żywych.

Hrabia był człowiekiem bardzo wykształconym i Imeldra często myślała, że od niego nauczyła się więcej niż od nauczycieli w szkole czy też z książek. Mimo to, żeby mu sprawić przyjemność w szkole, uczyła się bardzo pilnie i osiągnęła we wszystkich przedmiotach najwyższe oceny.

Imeldra była tak pewna, że będzie mogła przebywać z ojcem przynajmniej przez jakiś czas, że obecnie nie mogła wprost uwierzyć, że wkrótce się z nim rozłączy. Już sama myśl o tym doprowadzała ją do łez. Hrabia tego nie znosił. Zbyt wiele widział łez w oczach kobiet, które najpierw kochał, a potem porzucał. Wiedząc o tym Imeldra zacisnęła wargi, żeby powstrzymać łkanie, a potem odezwała się drżącym głosem:

- Czy nie mogłabym zostać z tobą choć przez krótki czas? Tak marzyłam o tym, chciałabym także z tobą porozmawiać.

- Ja także bardzo tego chciałem - rzekł hrabia - lecz ponieważ okazałem się głupcem, jest to teraz niemożliwe.

- Czy rzeczywiście musisz uciekać z tą damą?

- Muszę coś z tym fantem zrobić - odrzekł. - Muszę postąpić, jak na człowieka honoru przystało.

- Ale ty jej przecież nie kochasz.

- Miłość! A cóż to takiego? - Ujrzawszy jednak wyraz twarzy córki, dodał innym tonem: - Wiesz równie dobrze jak ja, że kochałem tylko raz w życiu i że takiej miłości nie przeżyję już nigdy.

- Czy inni ludzie też tak to przeżywają? Czy też tylko jedną osobę darzą prawdziwą miłością jak ty mamę?

- Kochałem twoją matkę, a ona kochała mnie - odrzekł hrabia. - Stanowiliśmy wzajemne dopełnienie, dlatego nie jest możliwe, żeby jakakolwiek inna kobieta znaczyła dla mnie tyle samo. - Jego słowa były bardzo proste i przejmujące. - A jednocześnie mówił dalej, jakby zmuszony do wyznania prawdy wiesz przecież, że byłem wielokrotnie oczarowany przez liczne kobiety, lecz ponieważ znam najwyższe wzloty, nie zadowolę się namiastką uczucia.

- Rozumiem cię, papo - odezwała się Imeldra - i mam nadzieję, że pewnego dnia pokocham kogoś w taki sam sposób.

- Tego właśnie chcę dla ciebie - rzekł hrabia. - I takiej miłości powinnaś szukać. - Imeldra milczała, a on mówił dalej: - Lecz nie znajdziesz jej tam, gdzie ja króluję. - Zaśmiał się, lecz nie był to śmiech radosny. - Tak, jestem królem tego małego królestwa, ponieważ jestem bogaty. Ponieważ za granicą jestem akceptowany przez najmożniejsze rody jako angielski arystokrata. Jednak ty, moje drogie dziecko, musisz znaleźć uznanie nie u francuskich, włoskich czy hiszpańskich dam, lecz u angielskich, które tworzą najbardziej snobistyczne i najbardziej krytyczne towarzystwo na całym świecie.

- Ale dlaczego właśnie one mają mnie zaakceptować?

- Dlatego, moja najdroższa, że tylko na wyżynach, na które cię wprowadzą, możesz znaleźć odpowiedniego męża i

prowadzić życie, o jakim dla ciebie marzę. - Głos hrabiego nabrał ostrych tonów, kiedy mówił dalej: - Nie popełnij zatem błędu. To, że jestem twoim ojcem, stanowić będzie dla ciebie wielką przeszkodę. Jednak twoja uroda, majątek, a także fakt, że twoja ciotka jest księżną, sprawią, że zostaniesz zaakceptowana.

- Ale czy sądzisz, papo, że zgodzę się wyjść za mąż za każdego, kto zauważy we mnie te zalety?

- Ależ, kochanie - powiedział hrabia łagodniejszym tonem - ten, kto zechce cię poślubić, będzie cię kochał do szaleństwa, lecz jego rozum i poczucie krytycyzmu muszą dawać mu rękojmię, że tak postępując, postępuje słusznie.

Ponieważ Imeldra była inteligentna i знаła dobrze swojego ojca, rozumiała bezbłędnie, co chciał przez to powiedzieć. Musiałaby być bardzo głupia, żeby nie uświadamiać sobie, że osoby, z którymi ojciec utrzymywał kontakty za granicą, nie otrzymałyby zaproszeń do arystokratycznych angielskich domów.

Wielokrotnie zakazywano jej schodzenia na dół podczas przyjęć urządzanych przez ojca, lecz mimo to była świadoma, że o świecie przyjęcia te kończyły się niesmacznymi awanturami. Akceptowała to wszystko bez szemrania, ponieważ kochała ojca i ponieważ życie u jego boku było pełne przygód i niespodzianek. Nigdy nie mogła być pewna, co się danego dnia wydarzy, a potem podczas nudnych szkolnych lekcji często wracała myślami do przeszłości.

Kiedy powtarzano z uporem francuskie nieregularne czasowniki, przed jej oczami stawał Wersal w całej swojej krasie, podczas lekcji włoskiego pojawiały się chmury płynące nad Wezuwiuszem, rzymskie Koloseum, bazylika Św. Piotra, a kiedy nauczyciel pokazywał na mapie Grecję, widziała Akropol i ruiny Delf.

„Taka jestem szczęśliwa, że mogłam zobaczyć to wszystko w rzeczywistości” - mówiła do siebie.

Zdawała sobie sprawę, że inne uczennice w klasie nie rozumieją piękna tych miejsc, które jej dane było podziwiać.

Kamerdyner zameldował, że podano obiad. Podczas posiłku rozmawiali o miejscach, które zwiedzali razem w przeszłości. Ojciec opowiedział jej także o pałacu, który kupił w Wenecji. Była to stara zabytkowa budowla, ale Imeldra, która nigdy nie była w Wenecji, nie mogła sobie z opisu wyobrazić wyglądu pałacu.

- Bardzo cię proszę, papo - rzekła - żebyś mi przysłał malowidło przedstawiające ten pałac, a będę się czuła tak, jakbym się znajdowała blisko ciebie.

- Nie omieszkać tego zrobić - obiecał hrabia. - Lecz nawet gdyby nam przyszło nie widzieć się przez długi czas, możemy być w listownym kontakcie.

- I dzięki myślom, które będziemy sobie posyłać - dodała Imeldra. - Kiedy byłam jeszcze w szkole, często nocami słałam ku tobie moje myśli, które docierały do ciebie tam, gdzie się znajdowałeś.

- Jestem przekonany, że i teraz dotrą do mnie - odparł hrabia. - Jeśli mam być szczery, to ci powiem, że zawsze czułem twoją obecność i że moje myśli były zawsze z tobą.

- Nie wątpię w to, papo. Widzisz więc, że trudno nam żyć bez siebie. A tak naprawdę to nigdy nie tracimy ze sobą kontaktu.

- Oczywiście że nie - rzekł hrabia, a w jego oczach pojawił się smutek.

Gdy wrócili do salonu, Imeldra spytała:

- Kiedy odjeżdżasz?

- Zamierzałem wyjechać po południu, lecz zmieniłem plany - powiedział. - Niewiele to zmieni, jeśli przyjadę do Londynu jutro rano, a nie, jak planowałem, dziś wieczorem.

- A zatem będę mogła zjeść z tobą kolację - wyszeptała Imeldra.

- Oczywiście - odrzekł hrabia. - Postaramy się znaleźć dla ciebie najlepsze wyjście, zanim twoja ciotka wróci i rozłoży opiekę nad tobą. - Imeldra spojrzała na niego zdumiona, a on wyjaśnił: - W wiadomościach dworskich zamieszczonych w „Timesie” wyczytałem, że przebywa teraz w Szkocji w gościnie u księcia i księżnej Buccleuch.

- To dobrze się składa! - wykrzyknęła Imeldra. - Zostało mi trochę czasu, dopóki nie wróci z podróży...

- To prawda - potwierdził hrabia. - Jednak ponieważ nie możesz wrócić do szkoły, będziesz musiała wyjechać do babki.

- Och, nie, papo!

Imeldra nie lubiła babki, kobiety oschłej, często bardzo niemilej. Babka miała za złe Imeldrze jej głęboką miłość do ojca. I pretensje o to, że po śmierci matki nie oddano jej na wychowanie Imeldry. Jednak babka ucieszyłaby się niewątpliwie z wizyty wnuczki, ale jednocześnie nie powstrzymała przed krytykowaniem sposobu jej wychowania. A dla Imeldry wysłuchiwanie nie kończących się uwag wymierzonych przeciwko ojcu byłoby nie do zniesienia.

- Proszę cię, papo - błagała - nie posyłaj mnie do babki.

- A czy mamy inne wyjście? - zapytał hrabia. - Przecież babka mieszka od nas w odległości zaledwie trzech, czterech godzin jazdy powozem.

Imeldra w duchu przyznała mu rację.

- Wyślę list do mojej matki - powiedział hrabia - wyjaśniający całą sytuację, bo i tak wcześniej czy później pozna powód mojego wyjazdu do Francji. - Imeldra mruknęła coś niezadowolona, lecz głośno nic nie powiedziała, więc hrabia mówił dalej: - Zostawiam wszystkie sprawy domowe

na głowie Duttona. Zwróć się do niego w razie jakichkolwiek problemów, a on zrobi wszystko, co tylko zechcesz.

Imeldra rozejrzała się po salonie. Od śmierci matki nie spędzała wiele czasu w Kingsclere, ich rodzinnej siedzibie. Wcześniej cała rodzina mieszkała tutaj stale. Dopiero po stracie żony hrabiego zaczęły prześladować wspomnienia o ukochanej i nie mógł dłużej wytrzymać we własnym domu. Wtedy właśnie postanowił zabrać małą córeczkę w długą podróż po obcych krajach.

Raz lub dwa razy do roku wracali do Anglii i wówczas hrabia miał okazję wystawiać swoje konie na wyścigach w Ascot lub Newmarket. Odwiedzał miejscowy Jockey Club w towarzystwie jakiejś pięknej kobiety, którą wówczas adorował, a tymczasem Imeldra spędzała czas pod opieką guwernantki, mogła pospacerować trochę wśród tłumów. Pewnego razu Cyganki wywróżyły jej szczęśliwą przyszłość, co nie było trudne, zważywszy na jej urodę i elegancję - była taka ładna i tak dobrze ubrana. Podczas tych spacerów miała okazję przyjrzeć się osobnikom przyjmującym zakłady a także tym, którzy zabawiając widzów sztuczkami wyciągali im przy okazji z kieszeni pieniądze.

Wszystko to ogromnie ją interesowało i wakacje spędzane w Kingsclere odciskały się w jej pamięci jak coś niezwykle pięknego, dużo bardziej atrakcyjnego niż to, co widywała za granicą. Lecz koniec lata oznaczał jednak niezbitcie koniec kolejnej miłosnej przygody hrabiego. Gdy tylko udało mu się ustrzelić pierwszą zdobycz, był gotów wyruszyć przez Morze Śródziemne do Północnej Afryki, a nawet przez Morze Czerwone do Indii.

Było to życie niezwykle jak dla dziecka, jednak Imeldra rosnąc nabywała wiedzy, o jakiej jej rówieśniczki nie miały pojęcia. Zdobywała wiadomości nie tylko o krajach i

niezwykłych miejscach, lecz także o ludziach, ich wierzeniach i problemach politycznych.

Ponieważ jej ojciec był człowiekiem niezmiernie błyskotliwym i inteligentnym, spędzał czas nie tylko w towarzystwie pięknych dam, lecz spotykał się również z politykami odwiedzanych krajów, z premierami, kanclerzami, ministrami spraw zagranicznych. Kiedy przyjmował gości, Imeldra miała okazję przysłuchiwania się ich rozmowom, a to, czego nie rozumiała, mogła później przedyskutować z nim na osobności.

Tego wieczora rozmawiając z nim po kolacji odniosła wrażenie, że żaden mężczyzna, którego być może spotka w wielkim świecie, nie dorówna jej ojcu i nie zajmie jego miejsca w jej sercu, ponieważ nawet gdyby ją pokochał wielką miłością, dzieliłaby ich jednak bariera intelektualna. Nigdy też nie byłaby w stanie tyle się od niego nauczyć ile od ojca. Ich ostatni wieczór miał się już nieubłaganie ku końcowi i kiedy Imeldra spojrzała na zegar stojący na kominku, hrabia odezwał się:

- Nadszedł czas, kochanie, żeby się pożegnać. Wiesz dobrze, że nie lubię łzawych scen, więc proszę cię, nie schodź na dół jutro rano, dopóki nie wyruszę w drogę. Zamierzam wyjechać o bardzo wczesnej porze.

Nadludzkiem wysiłkiem woli Imeldra powstrzymała cisnące się jej na wargi słowa protestu. Wiedziała, że tak będzie najlepiej, powiedzieli bowiem już sobie wszystko. Kiedy patrzyła, jak odchodził, chciała zapłakać, bo zdawała sobie sprawę, że prędko go nie zobaczy. Rozumiała jednak, że ojciec ma rację przekonując ją, że nie powinni widywać się, dopóki ona nie wyjdzie za mąż.

Przerażała ją zarówno myśl o rozstaniu jak też konieczność zamążpójścia jedynie dlatego, że tak sobie życzył ojciec. Jednak nie wspominała mu o tym, bo nie chciała go

martwić. Już teraz czuła wzbierający w niej smutek i rozpacz, lecz milczała i tylko objęła go rękami za szyję.

- Kocham cię, papo - powiedziała. - Nikt na całym świecie nie ma wspanialszego, przystojniejszego i miłszego ojca niż ja.

Jednak, co tu ukrywać, niezbyt dobrego. - Jesteś w błędzie - rzekła Imeldra. - Dzięki tobie miałam wspaniałe dzieciństwo. To ty wpoileś mi górne ideały i aspiracje. - Hrabia spojrzał na nią, jakby nie wierząc, że mówi prawdę, a ona kontynuowała: - Ponieważ zawsze szczerze i rozsądnie rozmawialiśmy o wszystkim, nie dam się zwieść temu, co niewłaściwe i złe. To właśnie ty wskazywałeś mi zawsze rzeczy i sprawy dobre i wzniosłe. A ponieważ chciałeś, żebym do nich dążyła, nie zawiodę cię. Hrabia objął ją i przycisnął do siebie.

- Dziękuję ci za te słowa - rzekł. - Sprawily mi wielką radość. Zawsze się obawiałem, że twoja matka może mnie potępić, iż nie oddałem cię babce na wychowanie.

- Mama zapewne zrozumiała, że moje miejsce jest przy tobie - rzekła. - A ponieważ widziałam, jak bardzo byliście do siebie przywiązani i ile dla siebie znaczyliście, tego samego będę szukała u mojego przyszłego męża.

Ponieważ hrabiemu trudno było znaleźć odpowiednie słowa, żeby jej odpowiedzieć, przytulił ją tylko i pocałował.

- Gdyby coś złego się wydarzyło - odezwał się po chwili - gdybyś znalazła się w jakimś kłopotcie, daj mi znać, a przybędę do ciebie choćby z końca świata.

- Ja też przybyłabym niezwłocznie do ciebie, gdybyś mnie potrzebował.

Ojciec znów ją pocałował, a ponieważ wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, zostało już powiedziane, trzymając się pod rękę poszli schodami na górę, gdzie sąsiadowały ze sobą ich sypialnie. Hrabia jeszcze raz ucałował jej policzki, a potem

czoło. Wreszcie bez słowa opuścił pokój córki i zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę Imeldrze zdawało się, że rzuci się na łóżko i pozwoli płynąć łzom, które z takim trudem powstrzymywała. Jednak zamiast płakać ukłękła i zaczęła wzywać matkę, modląc o to, żeby strzegła ojca i chroniła go przed wszelkim złem.

Wiele czasu upłynęło, zanim w końcu zasnęła, a kiedy się przebudziła, usłyszała hałasy przed domem i domyśliła się, że nadszedł czas odjazdu ojca. Znów ogarnęła ją rozpacz, że będzie musiała żyć bez niego, i tylko jej silna wola sprawiła, że nie pobięła rzucić mu się na szyję i błagać, by ją zabrał ze sobą. Przypomniła sobie, że tak właśnie reagowały kobiety zakochane w ojcu, gdy je opuszczał, bo czuł się nimi znudzony, więc Imeldra nie chciała się poniżyć i postępować podobnie. Zakryła tylko uszy rękami, żeby nic nie słyszeć.

Dopiero kiedy była zupełnie pewna, że jego elegancki powóz zaprzężony w czwórkę koni już odjechał, przestała ścisnąć głowę rękami i opadła znużona na poduszki. Była tak roztrzęsiona, że zerwała się z łóżka, ubrała bez pomocy służącej i zeszła na dół. Cały dom wyglądał tak pięknie i przytulnie, że wprost nie chciało jej się wierzyć, że nagle opustoszał. Wiedziała, że gdy tylko stąd wyjedzie, meble zostaną zakryte pokrowcami, kwiaty wyrzucone, okna zasłonięte i zabezpieczone. Tylko ogród będzie rozkwitał nadal, choć już nikt nie będzie go podziwiał.

Nie weszła do salonu, w którym spędziła ostatni wieczór z ojcem, gdyż zbyt bolesne było wspomnienie rozmowy, którą tu odbyli. Przeszła więc do biblioteki, i kiedy tam się znalazła, pojawił się pan Dutton, sekretarz ojca, któremu ojciec powierzył pieczę nad domem.

- Dzień dobry, panienko - powiedział pan Dutton. - Chciałbym wiedzieć, na którą godzinę podstawić powóz. Jego

lordowska mość dał mi list do jej wysokości zapowiadający rychły przyjazd panienki. Imeldra zawahała się przez moment.

- Zastanowię się nad tym po śniadaniu - rzekła. - Rozumie pan, że nie mogę zjawić się u babki zbyt wcześnie.

Imeldra знаła pana Duttona jeszcze z czasów dzieciństwa. Teraz twarz tego niestarego jeszcze mężczyzny wyrażała współczucie i zrozumienie dla jej niełatwej sytuacji.

- Nie ma pośpiechu, panienko - rzekł pan Dutton. - Proszę się rozejrzeć, może chciałaby panienka zabrać coś stąd ze sobą.

Mówiąc to wyszedł pośpiesznie, jakby wyczuwając, że pragnie zostać sama. Po krótkiej chwili spędzonej w bibliotece Imeldra przeszła do małej jadalni, w której podawano śniadania, tam czekał już na nią stary kamerdyner służący w domu jeszcze za życia matki. Skłonił się przed Imeldra z uszanowaniem i tak jak co dzień przygotował poranne gazety i ustawił na srebrnej podpórce przed jej nakryciem, aby mogła je przejrzeć podczas śniadania. Ponieważ sądziła, że sprawi mu tym przyjemność, zerknęła do „Morning Post”, gdy nabierała sobie potrawy ze srebrnego półmiska ozdobionego rodowymi herbami, na którym ułożono całą masę różnych smakołyków.

Przypomniała sobie, jak podczas wspólnej z ojcem podróży do Francji zadowalali się zjedzeniem na śniadanie kilku bułeczek i wypiciem kawy. Lecz w Anglii należało przynajmniej skosztować wszystkich przygotowanych przez szefa kuchni potraw, żeby go nie urazić. Ojciec zawsze mówił jej ze śmiechem: „W Rzymie należy się zachowywać jak rzymianie”.

Kamerdyner bezszelestnie opuścił pokój, a Imeldra czując, że jedzenie staje jej w gardle, odstawiła talerz i zagłębiła się w lekturze gazety. Główne artykuły, jak można się było tego spodziewać, zawierały niezliczone sprawozdania z dyskusji

parlamentarnych na temat proponowanych reform i relacjonowały głosy za i przeciw. Potem spojrzała na dół strony i tam znalazła coś, co przyciągnęło jej uwagę.

Markiz Marizon zatrudnił Williama Gładwina, aby przebudował oranżerię w jego letniej rezydencji, która uległa zniszczeniu w wyniku pożaru.

Pan Gładwin, znakomity budowniczy oranżerii, idzie w ślady swego słynnego poprzednika z czasów regencji, Humphreya Reptona, który był pierwszym architektem włączającym oranżerie i szklarnie do całości projektowanych budowli. Pan Gładwin również stara się połączyć oranżerię czy też ogród zimowy z głównym budynkiem.

Imeldra dwukrotnie przeczytała doniesienie. Znała osobiście pana Williama Gładwina, ponieważ trzy lata temu zakładał w Kingsclere oranżerię, której tam nigdy nie było, mimo iż dom został zbudowany w szesnastym wieku. Kiedy budowa została ukończona, Imeldra stwierdziła, że oranżeria prezentuje się bardzo imponująco, a zarazem pięknie.

Imeldra wiele czytała o Humphreyu Reptonie, który dowodził, że światło odgrywa istotną rolę w życiu roślin, i z tego też powodu wprowadził górne oświetlenie w miejsce boczne, dotychczas stosowanego w oranżeriach.

- Chciałabym, żeby u nas też takie założył - powiedziała Imeldra do ojca.

- Jestem zupełnie zadowolony z naszej oranżerii, takiej jaka jest - odrzekł ojciec. - Cokolwiek ludzie by mówili, nasze drzewa pomarańczowe, nawet orchidee i azalie, a także egzotyczne rośliny przywiezione z Afryki doskonale u nas rosną.

- Tak, to prawda - zgodziła się Imeldra - lecz czemu mielibyśmy innym zazdrościć?

- Nigdy nikomu niczego nie zazdroszczę - odpowiedział hrabia i Imeldra wiedziała, że jest to prawda.

„Ten William Gladwin to był bardzo miły człowiek” - powiedziała teraz do siebie.

Przypomniała sobie, ile godzin spędziła przyglądając się jego pracy, gdy nadzorował murarzy, cieślów, szklarzy i gdy każdy szczegół porównywał ze swoimi planami.

W tej chwili uświadomiła sobie, że markiz Marizon mieszka bardzo niedaleko. Nigdy go nie widziała, ojciec powiedział jej pewnego razu, że jest to młodzieniec bardzo poważny, który nie akceptuje ani jego osoby, ani trybu życia, jaki prowadzi. Imeldra była wówczas zbyt młoda, żeby zrozumieć znaczenie tych słów. Była natomiast przekonana, że markiz to zapewne straszny nudziarz, jeśli nie podziwia jej ojca, i wyrzuciła go zupełnie z pamięci.

Teraz jednak pomyślała, że straciła okazję nie tyle poznania markiza, ile zwiedzenia Marizon.

Pałac Marizon cieszył się opinią jednej z najwspanialszych rezydencji w kraju. W gazetach i czasopiśmie często wspomniano o słynnej galerii obrazów znajdującej się w pałacu, a także o znakomitych meblach i srebrach.

„Szkoda, że nie namówiłam papy, żebyśmy jednak odwiedzili kiedyś markiza” - pomyślała.

Niespodzianie pomyślała z bólem serca, że gdy ojciec poślubi lady Bullington, to ona będzie gospodynią Kingsclere, a nie Imeldra. Po raz pierwszy uświadomiła sobie z całą wyrazistością, co to będzie oznaczać, gdy miejsce jej matki zajmie inna kobieta, i myśl ta napełniła ją gniewem.

„Jak ona w ogóle ośmiela się myśleć, że zostanie żoną mojego ojca?” - zadała sobie pytanie, lecz wiedziała dobrze, że choć wiele kobiet tego próbowało, i właśnie ta jest najbliższej osiągnięcia tego celu.

Złość, jaka w niej wezbrała, sprawiła, że poczuła przyływ buntu. Z miłości do ojca zgadzała się na wszystko, co powiedział ubiegłego wieczora, i nie protestowała nawet.

Teraz nie chciała pogodzić się, że po pierwsze - ją porzucił, po drugie, że kazał jej udać się do babki, a po trzecie, że w przyszłości jej miejsce w życiu ojca zajmie jego żona, która z racji swojego stanowiska zaprowadzi tu swoje rządy.

- Nie zniosę tego - powiedziała na głos.

Potem spojrzała na gazetę i śmiały plan zaświtał w jej głowie. Nie zajęło jej to dłużej niż minutę czy dwie, a kiedy już podjęła decyzję, w jej oczach zapaliły się ogniki tak dobrze znane jej ojcu. Uniosła dumnie głowę, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo jest do niego podobna.

- Zrobię to, zrobię! - powiedziała do siebie. - Będzie to tym łatwiejsze, że nie ma nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać!

Rozdział 2

Jadąc wiejską drogą Imeldra podziwiała piękny krajobraz, rozkwitające pąki na krzewach, pierwiosnki i przylaszczki. Bardzo wyraźnie widać było granice pomiędzy ziemiami należącymi do majątku ojca a tymi, które stanowiły własność markiza Marizon. Matka kazała pomalować drzwi i okna zagród należących do ich majątku niebieską farbą, podczas gdy zabudowania w majątku markiza miały framugi ciemnozielonego koloru.

Ogródki przed domami farmerów pełne były wiosennych kwiatów, również domy rentierów wyglądały schludnie. Wieśniacy, których widziała krzątających się w swoich obejściach, byli przyzwoicie ubrani. Nie dostrzegła obdartych dzieci. Zobaczyła też tylko kilku włóczęgów.

Tak rzadko bywała w Anglii, nie licząc ostatniego roku spędzonego w szkole, że oceniała wszystko badawczym wzrokiem obcego przybysza. Zdołała zauważyć, że majątek markiza był w doskonałym stanie, a otaczające go lasy świetnie nadawały się do polowań.

Kiedy po opuszczeniu domu i przejechaniu kilku mil w stronę domu babki Imeldra zapukała w szybką oddzielającą ją od siedzenia woźnicy, Baker, stary stangret, którego znała od lat, był mocno zdziwiony. Kiedy lokaj zszedł na dół, aby się dowiedzieć, o co jej chodzi, rzekła:

- Powiedz Bakerowi, żeby mnie zawiózł do Marizon.

- Do Marizon? - zdziwił się lokaj.

- Tak, do Marizon - powtórzyła Imeldra i dodała: - Zamierzam odwiedzić pana Gladwina, który, jak sobie przypominasz, pracował kiedyś w Kingsclere. Proszę mnie podwieźć pod boczne wejście i nikomu nie wyjawiać mojego nazwiska.

Jej słowa zdumiały lokaja, lecz była przekonana, że Baker zastosuje się do jej poleceń. Nie obchodziło jej, co pomyśla

sobie służący. Gdyby udało jej się pozostać u pana Gladwina, jak to planowała, wyśle list do pana Duttona wyjaśniający, dlaczego zmieniła plany. Miała przy sobie list, który ojciec napisał do babki, więc ta wcale jej się nie spodziewa, a pan Dutton nie ośmieli się oponować, niezależnie od tego, jak dziwaczne by mu się wydały jej pomysły.

„Wszystko jest lepsze niż pobyt u babki, która bez przerwy zrzędzi i narzeka” - powiedziała do siebie.

Bardzo polubiła pana Gladwina, kiedy przebywał u nich w Kingsclere. Wydał jej się wtedy niezwykle interesującym i inteligentnym mężczyzną. Gladwin był synem drobnego właściciela ziemskiego gdzieś z północy Anglii, niemniej chodził do dobrej szkoły, a potem wstąpił na uniwersytet. Ojciec pragnął, aby poszedł w jego ślady lub naśladował wuja, który był znanym adwokatem w tej części Yorkshire, w której mieszkali.

Jednak William Gladwin poszedł za głosem swego powołania i kiedy ukończył studia, praktykował u znanego architekta, który przekazał mu całą swoją wiedzę.

Ponieważ uwielbiał kwiaty, wkrótce zaczął się specjalizować w projektowaniu oranżerii, a hrabia Kingsclere, usłyszawszy o jego sukcesach zaprosił go do swojej posiadłości.

Galdwin nie był już wówczas młody, a jego nazwisko stało się sławne w całym kraju. Księżę regent również zamierzał go u siebie zatrudnić, lecz hrabia ubiegł księcia i Gladwin spędził trzy lata w Kingsclere przy budowie oranżerii. Imeldra bardzo się z nim zaprzyjaźniła i z wielką radością myślała o spotkaniu. Była przekonana, że zgodzi się zatrudnić ją w Marizon jako swoją asystentkę lub kogoś w tym rodzaju, dopóki jej ciotka nie wróci do Londynu i nie będzie mogła do niej pojechać.

Pomyślała, że ojcu spodoba się ten pomysł, ale jednocześnie wołała, żeby ojciec nie dowiedział się o jej eskapadzie, dopóki nie powróci do Anglii.

Konie jechały właśnie długą lipową aleją i z tego miejsca po raz pierwszy ujrzała Marizon. Spodziewała się wprawdzie, że pałac będzie wyglądał imponująco, lecz jego majestat przekroczył wszelkie jej oczekiwania. Był zupełnie niepodobny do Kingsclere. Opromieniony bladymi promieniami kwietniowego słońca wyglądał jak zamek z bajki. Szare kamienie, z których był zbudowany, odcinały się na tle ciemnozielonych jodeł, a okna lśniły niczym diamenty.

„Jaka wspaniała budowla!” - pomyślała żałując, że nie może podzielić się swoimi wrażeniami z ojcem.

Stary markiz, poprzedni właściciel Marizon, był gubernatorem hrabstwa. Był to trudny w pożyciu i niemiły starszy pan. Przyjaźnił się z jej rodzicami, lecz po śmierci matki nie zaakceptował sposobu życia ojca. Skreślił go z listy swoich gości i odmówił mu poparcia na stanowisko deputowanego. W końcu kontakty pomiędzy sąsiadującymi ze sobą majątkami zupełnie się zerwały.

W owym czasie Imeldra była zbyt młoda, żeby odwiedzać Marizon, choć znajdował się tak blisko ich posiadłości. Teraz dopiero pojęła, ile straciła, i postanowiła, że musi koniecznie obejrzeć obrazy i inne skarby tam zgromadzone. Miała nadzieję, że uda jej się przekonać pana Gładwina, by pozwolił jej pozostać w pałacu w charakterze swojej asystentki.

Powóz przejechał przez most spinający dwa brzegi jeziora i skierował się nie w stronę głównego wejścia, do którego wiodły kamienne schody, lecz zatoczył łuk w kierunku bocznych drzwi, używanych nie przez służbę, lecz przez personel średniego szczebla.

„Guwernantki, sekretarze, nauczyciele - powiedziała raz do niej matka - są jakby zawieszeni pomiędzy piekłem i

niebem. Wydaje mi się, że ich życie jest trudne i samotne w domach takich jak nasz."

Imeldra pamiętając o tym starała się być szczególnie miła dla nerwowego młodzieńca, który pomagał panu Duttonowi, a matka odnosiła się niezwykle uprzejmie do guwernantek i nauczycielek zatrudnionych w domu.

„Teraz ja będę kimś takim” - pomyślała Imeldra, kiedy usłyszała, jak lokaj pyta o pana Gładwina.

Służąca, która otworzyła drzwi, przywołała lokaja, a tymczasem Imeldra wysiadła z powozu pewna, że Baker wypełni ściśle jej instrukcje i nikomu nie zdradzi, kogo tu przywiózł.

Lokaj poprowadził ją bocznymi korytarzami do wnętrza domu, potem przez ogromny hol i dalej korytarzami, których ściany były zawieszane obrazami. Lokaj się spieszył i prowadził ją szybko, dużo szybciej, niż gdyby była gościem wprowadzonym frontowym wejściem.

W końcu, gdy znaleźli się, jak przypuszczała, w bocznym skrzydle budynku, wskazał ręką w stronę stosów kamieni i cegieł, przy których uwijali się robotnicy.

- Tu panienka znajdzie pana Gładwina - rzekł krótko.

Odszedł, gdy Imeldra wchodziła na teren budynku dobudowanego do głównego gmachu. Ściany nowej oranżerii doprowadzone były na razie do wysokości czterech stóp, lecz już teraz dało się zauważyć piękno i harmonię projektu. Zapewne będzie tu wiele okien oprócz, jak przypuszczała, głównej innowacji, to jest szklanego dachu.

Jednak nie tyle myślała o budowli, ile o człowieku, który ją zaprojektował, i wkrótce dostrzegła jego siwą głowę spoza sterty cegieł, i usłyszała, jak wydawał robotnikom polecenia. Pospieszyła w jego stronę, nie zdając sobie sprawy, że w wiosennej sukni i w jasnej jedwabnej pelerynce, w kapeluszu

ozdobionym błękitnymi wstążkami przypomina kwiat, jeden spośród tych, które będą kwitły niebawem w tej oranżerii.

Znalazła się przy panu Gladwinie, zanim się odwrócił i mógł ją zobaczyć. Gdy ją wreszcie spostrzegł, przyglądał jej się przez chwilę, nie mogąc wprost uwierzyć własnym oczom. Kiedy Imeldra wyciągnęła dłonie w jego stronę, zawołał:

- Lady Imeldro! Co panienka tutaj robi?

Imeldra roześmiała się.

- A już się bałam, że pan o mnie zapomniał.

- Jakże bym mógł - odpowiedział William Gladwin. - Nie miałem pojęcia, że pani jest w Anglii. Czy przybyła pani razem z ojcem?

Spojrzał w stronę drzwi, spodziewając się zobaczyć hrabiego zmierzającego ku oranżerii.

- Chciałabym z panem porozmawiać w prywatnej sprawie - powiedziała Imeldra.

- Ależ oczywiście - odrzekł pan Gladwin z zaciekawieniem w twarzy.

Poprowadził ją do miejsca, gdzie pośród trawy stał drewniany domek o kilku oknach i drzwiach frontowych. Był to taki sam domek, jak w Kingsclere. W środku stał wielki stół, na którym były porozrzucone rozmaite rysunki, i kilka krzeseł, jedno stało przy piecu dającym ciepło w czasie zimowych miesięcy.

- Ależ tu jest tak samo jak w domku, który pan sobie urządził w Kingsclere! - zawołała. - Zawsze potrafi pan zadbać o własną wygodę!

- Już wtedy pani mówiłem - powiedział ze śmiechem - że człowiek pracuje dobrze, jeśli ma ciepło, jest najedzony i jeśli praca odbywa się w miłych warunkach!

- Przypominam to sobie doskonale - roześmiała się Imeldra.

Pan Gladwin zamknął drzwi i Imeldra usiadła na jednym z krzeseł, a on przysunął sobie drugie.

- Teraz proszę mi powiedzieć, co panienkę do mnie sprowadza - rzekł, a potem dodał: - Mam nadzieję, że oranżeria w Kingsclere sprawuje się dobrze.

- Jest w jak najlepszym stanie - zapewniła go Imeldra. - Właśnie zakwitają w niej kwiaty.

Wiedziała, że pan Galdwin traktuje oranżerie jak swoje dzieci i że gdyby mu powiedziała, że coś jest nie w porządku, bardzo by go tym zmartwiła.

- Przybyłam tutaj - mówiła dalej - ponieważ chciałabym zatrzymać się u pana przez pewien czas.

- Zatrzymać się u mnie? - zdziwił się pan Gladwin.

- Taki mam zamiar. Papa wyjechał za granicę, a mnie nakazał, żebym udała się do babki, a ja nie mam na to ochoty. Bardzo więc pana proszę pozwolić mi zostać. Być może potrwa to zaledwie kilka dni, zanim moja ciotka księżna Ilminster wróci ze Szkocji do Londynu. - Widząc przerażenie w oczach pana Gladwina mówiła dalej: - Wie pan doskonale, jakie stosunki panowały pomiędzy markizem Marizon i moim ojcem, zatem nie mogę tu przebywać pod własnym nazwiskiem. Gdyby pan uznał, że na pańską asystentkę się nie nadaję, mógłby pan powiedzieć, że jestem pańską wnuczką.

Imeldrze przyszło to do głowy właśnie w tym momencie i przypatrując się panu Gladwinowi pomyślała, że gdyby żyli jej dziadkowie, wyglądaliby właśnie tak jak on. William Gladwin w młodości był dość przystojnym mężczyzną, lecz w starszym wieku prezentował się wyjątkowo dostojnie. Miał wysokie czoło świadczące o inteligencji, a nad nim niezwykle gęste siwe włosy. Rysy jego twarzy były bardzo wyraziste. Imeldra przypuszczała, że w jego żyłach płynie krew wikingów, którzy przepływali przez Morze Północne, żeby

porywać bydło, uprowadzać kobiety i odpływać ze zdobyczą na swoich dziwacznych okrętach.

Niezależnie jednak od tego, jaki był powód jego imponującego wyglądu, William Gladwin należał do ludzi, których każdy z dumą uznałby za swoich krewnych.

- Proszę, niech mi pan pozwoli być pańską wnuczką - powiedziała z uśmiechem. - Kocham pana, jakby pan był moim prawdziwym dziadkiem.

Po chwili wielkiego zdumienia pan Gladwin uniósł głowę i zaśmiał się.

- Tylko pani mogła wymyślić coś tak nieprawdopodobnego - zawołał. - Choćbym nie wiem jak bardzo pragnął, żeby pani ze mną została, nie mogę tego uczynić.

Imeldra usiadła wygodniej na krześle, zaczęła przedstawiać coraz to nowe argumenty i w miarę jak mówiła, stawała się coraz bardziej przekonująca.

Nie wdawała się w szczegóły i nie wyjaśniała, czemu jej ojciec musiał tak nagle wyjechać za granicę, sądziła jednak, że pan Gladwin okaże się wystarczająco domyślny i sam odgadnie przyczynę.

Opowiedziała mu, że uciekła ze szkoły i że nie miała zamiaru tam wracać, że przerażeniem ją napawa myśl zamieszkania u babki, bo wie, że wbrew własnej woli będzie wystawiana w towarzystwie na pokaz jako debiutantka i że będzie musiała przebywać u ciotki aż do czasu zamążpójścia. Imeldra nie zdawała sobie sprawy, jak wiele tajemnic odsłania przy tej okazji. Pan Gladwin słuchał jej z wielką uwagą, więc wydawało jej się, że ma go po swojej stronie i w końcu poda jej pomocną dłoń.

- Jeśli pan nie zgodzi się, żebym tu została - rzekła po chwili - pojedę gdzie indziej i zamieszkać sama, lecz papa z pewnością nie będzie z tego zadowolony!

- Pani mnie szantażuje! - zawołał pan Gladwin. - Mogłaby się pani narazić w ten sposób na wielkie nieprzyjemności.

Mówiąc to zrozumiał, że nie może pozwolić, żeby piękna młoda dziewczyna, której uroda wspaniale rozkwitła od czasu ich ostatniego spotkania, zamieszkała sama. Przeraził się na samą myśl, że uwiedzie ją jakiś mężczyzna, że wreszcie tak urocza istota mogłaby się stać łupem nie tylko łowców posagów, lecz także złodziei.

- Stawia mnie pani w bardzo kłopotliwej sytuacji - powiedział z westchnieniem.

- A więc zgadza się pan, żebym tu została?! Pozwala mi pan zostać? - przerwała mu Imeldra. - To wspaniale! Będziemy mogli sobie porozmawiać jak niegdyś w Kingsclere, kiedy papa był zajęty ze swoimi przyjaciółmi, a guwernantka zmęczona moimi pytaniami, na które często nie umiała odpowiedzieć.

Pan Gladwin uśmiechnął się.

- Była pani rzeczywiście dziewczynką niezmiernie ciekawską - rzekł.

- A teraz jestem młodą dziewczyną, która też lubi zadawać pytania - dodała Imeldra - a pan jest człowiekiem, który potrafi na nie odpowiedzieć.

- Bardzo mnie to cieszy - powiedział pan Gladwin. - Zgadzam się na pani propozycję, choć nie bez oporów. Myślę, że ma pani ze sobą jakiś bagaż?

- Niewielki, może się pan nie obawiać - wyjaśniła Imeldra. - Tylko te rzeczy, które miałam ze sobą w szkole. W niedalekiej przyszłości będę potrzebować szaf pełnych wspaniałych strojów, żeby cały Londyn padł mi do stóp!

Sposób, w jaki to mówiła, był w wyraźnej sprzeczności z treścią wypowiedzi. Pan Gladwin zdawał sobie sprawę, że dziewczyna obawia się trybu życia, jaki będzie musiała wieść w stolicy u boku ciotki. Domyślał się również, jak bardzo

tęskni za ojcem. Nigdy jeszcze w ciągu całego swojego długiego życia nie widział tak kochających się ojca i córki. Każde z nich było wybitną osobowością, a jednocześnie byli przecież tak bardzo odmienni.

Pan Gładwin lubił hrabiego i podziwiał go. Należał do nielicznych ludzi, którzy wybaczały mu poniekąd jego miłosne podboje. Uważał, że mężczyzna tak przystojny i obdarzony magnetyzmem w kontaktach z kobietami nie mógł się od nich opędzić i wciąż kręciły się koło niego.

Architektowi przyszło teraz na myśl, że podobnie Imeldra będzie działać na mężczyzn w taki sposób, że nie potrafią wyzwolić się spod jej czaru. Należało tylko się modlić, żeby trafiła na właściwego mężczyznę, który jako mąż będzie ją kochał i ochraniał.

Przenosząc się z jednego arystokratycznego domu do drugiego William Gładwin miał okazję poznać wielki świat jak niewiele osób nie należących do tego zamkniętego środowiska. Wyrobił sobie nieprzychylnie zdanie o młodych arystokratkach, którzy porzucali rodzinne domy na wsi, żeby oddawać się miesiącami rozrywkom i hazardowi w londyńskich klubach, trwoniąc pieniądze, które z lepszym pożytkiem mogły być wydane na różne inwestycje w ich gospodarstwach czy wspomóżenie starych pracowników.

„Ona stanowczo nie nadaje się dla mężczyzny tego rodzaju” - pomyślał pan Gładwin przypatrując się Imeldrze.

- Jego lordowskiej mości nie ma w tej chwili w domu - odezwał się głośno - lecz powiem ochmistrzyni, że moja wnuczka pozostanie ze mną przez jakiś czas. Myślę, że nie okaże się zbyt dociekliwa.

- To dobry pomysł - zgodziła się Imeldra. - Dziękuję panu, czy raczej dziękuję ci, dziadku, bo tak teraz będę się zwracać do pana. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- Zawsze pragnąłem, żeby pani czuła się szczęśliwa - odezwał się pan Gladwin cichym głosem. - Często mi się zdawało, że pani dzieciństwo z powodu braku matki nie było zbyt radosne.

Jego wypowiedź sprawiła, że łzy napływały jej do oczu.

- Tylko pan jeden - rzekła - był w stanie to zrozumieć. Choć kocham papę i chciałabym być razem z nim, jednak mama zawsze stoi mi przed oczami i często czuję jej fizyczną obecność.

- Jestem pewien, że roztacza nad panią opiekę - powiedział spokojnie pan Gladwin.

Następnie wstał, otworzył drzwi i zupełnie innym już tonem odezwał się:

- Pójdę teraz poszukać ochmistrzyni, a pani zapewne będzie musiała powiadomić stangreta o swoim postanowieniu.

- Tak, oczywiście - odrzekła Imeldra - tylko obawiam się, że nie trafię z powrotem do drzwi, pod które zajechałam. - Pan Gladwin uniósł brwi wyrażając zdumienie, więc wyjaśniła: - Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli skorzystam z bocznego wejścia. Nie chciałam także natknąć się przypadkiem na markiza, dopóki nie uzgodnię z panem moich planów.

- Postąpiła pani bardzo rozsądnie - rzekł - choć jego lordowskiej mości nie ma w domu.

- Czy on jest żonaty? - zapytała Imeldra, kiedy wyszli z domku na teren budowy.

Pan Gladwin nie odpowiedział, co wydało jej się nieco dziwne, dopiero potem zorientowała się, że nie chciał prowadzić tego typu rozmowy w obecności robotników.

Imeldra odesłała do domu powóz wraz z listem do pana Duttona wyjaśniającym, że w Marizon zatrzymała się jej przyjaciółka i że pragnie pobyć z nią dwa lub trzy dni, zanim uda się do babki. Nie starała się niczego tłumaczyć wiedząc, że pana Duttona niewiele to obchodzi. Na wypadek jednak

gdyby chciał się z nią skontaktować, uznała za stosowne, że lepiej będzie, jeśli się dowie, gdzie obecnie przebywa.

Wręczyła osobiście kopertę Bakerowi prosząc go, żeby odjechał natychmiast, gdy tylko jej bagaż zostanie wyładowany. Nalegała też, żeby pod żadnym pozorem nie ujawniał jej prawdziwego nazwiska. Domyśliła się, że stary stangret jest nieco zdziwiony jej zachowaniem, jednak była pewna, że wykona dokładnie wszystkie jej polecenia.

Kiedy bagaż został wniesiony do domu, Imeldrę ogarnęło uczucie podniecenia na myśl o przygodzie, jaka ją czeka. Była to wprawdzie tylko desperacka ucieczka przed pobytem u babki, jednak znalazła się w Marizon. Domyślając się, jak wiele jest do zwiedzania w tym wielkim pałacu, czuła się tak, jakby rozpoczęła podróż w nieznane.

Pan Gładwin zajmował sypialnię wraz z salonikiem we wschodnim skrzydle i ochmistrzyni kazała przygotować dla Imeldry sypialnię w sąsiedztwie jego pokoju. Choć był to miły pokoik, Imeldra zdawała sobie sprawę, że jest bardzo skromny w porównaniu do paradnych pokojów gościnnych.

Był jednak wygodnie urządzone, a okna wychodziły na staw. Służąca, której polecono rozpakować jej rzeczy, okazała się wesołą wiejską dziewczyną. Zapewne niedawno przysłała do służby w tak wielkim domu, bo wyraźnie pochlebiało jej, że została przydzielona do obsługiwanie młodej damy.

- Mam nadzieję, że będzie pani ze mnie zadowolona.

- Z pewnością - odpowiedziała Imeldra i wytłumaczyła jej dokładnie, jak ma rozmieścić jej rzeczy.

Były to na ogół szkolne ubrania, ale ponieważ ojciec był zawsze bardzo hojny, odznaczały się dużą elegancją. Dziewczęta w jej wieku często patrzyły na nią z podziwem i zazdrością. Podróże z ojcem sprawiły, że Imeldra była nie tylko inteligentna, ale też posiadała doskonały gust. Doskonale wiedziała, co włożyć na każdą okazję, uważając, że ubiór

stanowi oprawę dla osobowości i że powinien być dostosowany do charakteru osoby.

Pomyślała teraz, że dobrze się składa, że zabrała stroje zupełnie proste, gdyż inne, bardziej wyszukane, nie nadawałyby się do roli, jaką zamierzała odegrać jako wnuczka pana Gładwina. Zmieniła podróżny strój na suknię uszytą z białego jedwabiu, z bufiastymi rękawami, szeroką u dołu, co podkreślało szczupłość jej talii.

Kiedy schodziła na dół w poszukiwaniu swego rzekomego dziadka, zauważyła, że lokaje stojący w holu przypatrują się jej z podziwem. Jeden z nich nawet wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu, czego by nie ośmielił się zrobić, gdyby wiedział, kim jest naprawdę.

Przekonała się, że pan Gładwin nadal pracuje razem ze swoimi robotnikami. Przez chwilę przysłuchiwała się, jak wydaje polecenia, a potem wróciła do domu. Szła powoli przez korytarze przyglądając się obrazom i meblom, z których każdy był prawdziwym dziełem sztuki. Nie zdziwiło ją to wcale, przypomniała sobie bowiem, jak przyjaciele ojca z zapartym tchem opowiadali o skarbach znajdujących się w Marizon.

Była tak pochłonięta zwiedzaniem, że nie zauważyła pana Gładwina, który podszedł do niej i oznajmił, że zakończył pracę na dziś i że zaprasza ją do swojego saloniku. Po wypiciu doskonałej herbaty Imeldra rozsiadła się wygodnie na sofie.

- Niech mi pan teraz opowie - rzekła - co pan robił od czasu, kiedy opuścił pan Kinsclere?

William Gładwin opowiedział jej, jak dokonywał ulepszeń w oranżerii w Hanbury Hall w Droitwich. Wysłuchawszy go z uwagą, Imeldra po chwili rzekła:

- Niech mi pan teraz opowie coś o tym domu i jego właścicielu.

- A czy pani poznała markiza? - zapytał. Imeldra potrząsnęła głową.

- Myślę, że lepiej byłoby nie pokazywać mu się na oczy.

- Dlaczego pan tak uważa? - zdziwiła się. - Niech mi pan powie szczerze. Czy cieszy się on taką samą złą opinią jak mój ojciec? Jeśli tak, musi pan wiedzieć, że to nie szokuje mnie wcale.

Pan Gładwin uśmiechnął się rozbawiony jej szczerością.

- Markiz jest niezwykle człowiekiem - powiedział w końcu. - Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem, kiedy dostałem od niego zamówienie na zaprojektowanie oranżerii.

- Na czym polega ta różnica?

- Jest mężczyzną niezwykle inteligentnym i, jak sędzę, kobiety uważają go za przystojnego.

- A więc w czym rzecz?

- Wydawałoby się, że to nic takiego - odrzekł szybko pan Gładwin. - Ale jest w nim coś, czego nie mogę zrozumieć.

W spojrzeniu Imeldry zapaliła się ciekawość.

- Co pan ma na myśli? - pytała.

- Nie potrafię pani dokładnie odpowiedzieć - rzekł. - Jednak wieloletnia praca w domach takich jak ten sprawiła, że wyczuwam ich atmosferę.

- Więc jaka atmosfera panuje w Marizon?

- Gdybym to ja potrafił wyrazić słowami!

- A więc co pan czuje?

- Wyczuwam, że dzieje się tu coś złego, coś nienaturalnego.

Imeldra spoglądała na niego z ogromnym zainteresowaniem.

- Czy ma pan na myśli duchy? - zapytała. - Czy też markiz jest szantażowany przez rzezimieszków? A może chodzi o przyszłego dziedzica majątku i tytułu, bo markiz nie jest żonaty?

- Wątpię, czy to jest ten powód - odrzekł pan Gladwin. - Nie powinienem w ogóle z panią o tym rozmawiać, choć miałbym ochotę z kimś na ten temat pogawędzić.

- Bardzo bym chciała, żeby mi pan o wszystkim opowiedział - prosiła. - Niech mi pan szczerze powie, czego się pan domyśla.

- Chciałbym to wiedzieć - przyznał pan Gladwin ze smutkiem. - Jest w zachowaniu markiza jakaś rezerwa, choć nie ma powodu, żeby w stosunku do mnie musiał zachowywać się w ten sposób. Gdy przebywam z nim, wyczuwam, że on czegoś się boi, że stale ma się na baczności, że coś go gnębi. Nie! Słowa nie są w stanie tego wyrazić. Nie wiem po prostu, co to takiego.

- Bardzo mnie zafascynowało to, co mi pan powiedział - odezwała się Imeldra. - Szkoda, że nie ma tutaj papy. On uwielbia tego rodzaju zagadki.

Mówiąc to pomyślała, że ojciec być może wcale nie okazałby zainteresowania tą sprawą, ponieważ chodziło o mężczyznę, a nie kobietę. Będzie więc musiała sama rozwiązać tę tajemnicę.

Nie dopuszczała myśli o jakiegokolwiek intrydze. Znała pana Gladwina wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie wspominałby jej nic na ten temat, gdyby rzeczywiście nie czuł się zaniepokojony i gdyby nie sądził, że sprawa jest poważna. Dorzucił jeszcze nieco szczegółów dotyczących markiza, aż nadszedł czas, żeby się przebrać do kolacji.

Służąca, której na imię było Emma, przygotowała dla niej kąpiel i pomogła przebrać się w jeszcze inną skromną sukienkę. Kolację zjadła w towarzystwie pana Gladwina nie w jego bawialni, lecz w innym pokoju wschodniego skrzydła, w którym urządzono małą jadalnię. Usługiwało im dwóch lokajów, a potrawy, jak Imeldra miała okazję się przekonać,

były znakomite. Pan Gladwin pił swoje ulubione czerwone wino, ona jednak wolała oranżadę.

Kiedy wreszcie każde z nich znalazło się w swojej sypialni, Imeldra pomyślała, że spędziła wspaniały wieczór i że jutro musi się wybrać na zwiedzanie domu. Może uda jej się rozwiązać zagadkę dotyczącą problemów gnębiących markiza, które na tyle są widoczne, że rzucają się w oczy nawet architektowi budującemu oranżerię.

* * *

Ranek był słoneczny i tak ciepły, że Imeldra wybrała się na spacer po ogrodzie nie biorąc ze sobą szala. Od razu skierowała się w stronę oranżerii, minęła trawnik i kwiatowe rabaty, podziwiając ich piękno i porównując je ze znajdującymi się w Kingslere, i musiała przyznać, że tutejsi ogrodnicy znają swój fach.

„Markiz musi być zapewne bardzo wymagający - powiedziała do siebie - i podobnie jak papa lubi, żeby wszystko było wykonane perfekcyjnie.”

Była to cecha, którą musiała zapisać w rubryce „dobrych” i należało ją uwzględnić, zanim zabierze się do badania tych, które pan Gladwin uznał za „złe”.

Ubiegłego wieczora po kolacji odezwała się do pana Gladwina:

- Jestem bardzo zaintrygowana tym, co mi pan opowiedział o markizie.

- Wydaje mi się, że nie powinienem był pani o tym mówić - odrzekł architekt ze skruchą - lecz pocieszam się, że nie zabawi tu pani długo, jest więc niewielkie prawdopodobieństwo, żeby pani spotkała jego lordowską mość.

- Czy wyobraża pan sobie, jak bardzo się będę niepokoić, kiedy opuszczę ten dom nie zgłębiwszy tej zagadki. Do końca życia będzie mnie to dręczyć.

William Gladwin roześmiał się.

- Jest to ostatnia rzecz, jaką powinna się pani zajmować! Zresztą wyjedzie pani wkrótce do Londynu i tam przy pomocy księżny Ilminster odniesie ogromny sukces. Panowie w klubach będą wznosili toasty na pani cześć, będą panią obsypywali najbardziej wyszukаныmi komplementami. Zapewne pojawią się na pani drodze inni mężczyźni i o nich będzie pani rozmyślała, a nie o markizie Marizon.

Po sposobie, w jaki to mówił, Imeldra zdała sobie sprawę, iż z uwagi na jej dobro, żałuje, że doszło do tej rozmowy. Ponieważ uznała, że nie ma powodu, żeby się o nią kłopotał, powiedziała:

- Ma pan z pewnością rację. Gdy tylko opuszczę ten dom i przestanę odgrywać rolę pańskiej wnuczki, niechęć dzieląca moją rodzinę i rodzinę markiza znów się odnowi i ja znajdę się po jednej stronie, a markiz po drugiej.

W oczach pana Gladwina dostrzegła wyraz ulgi, podnieciło to tylko jej ciekawość, jeśli chodzi o markiza.

Zielone trawniki biegły w stronę wodnego ogródka, za nim znajdował ogród pełen ziół, a dalej gęste szpalery krzewów ozdobnych, które nabiorą urody, gdy tylko zakwitną rododendrony.

Kiedy skończyła zwiedzanie ogrodu, nadszedł czas na obiad, a ponieważ pan Gladwin nie mógł się na długo odrywać od pracy, posiłek podano im w małej drewnianej chatce stojącej w sąsiedztwie placu budowy. Obiad był lekki, ale Imeldrze bardzo smakował. Gdy tylko architekt wrócił do swoich zajęć, dziewczyna zdecydowała, że teraz będzie miała wystarczająco dużo czasu, aby obejrzeć dom.

Słońce schowało się za chmury i nie było już tak ciepło jak rano. Pomyślała, że rozpocznie wędrowkę od paradnych pokojów i od galerii obrazów, o której tyle się nasłuchiwała. Radowała ją myśl, że ponieważ gospodarza nie było w domu,

będzie mogła spokojnie wszystkiemu się przyjrzeć. Nie natknie się nawet na służbę, która, jak przypuszczała, odpoczywa pod nieobecność pana. Mogła się o tym przekonać, gdy w holu ujrzała tylko jednego lokaja zajętego czytaniem gazety.

Weszła najpierw do biblioteki, która zgodnie z jej przewidywaniami prezentowała się niezwykle okazale.

Przypomniała sobie, że gdzieś wyczytała, iż biblioteka w Marizon posiada pierwszy egzemplarz dzieł Szekspira, a także kopię Biblii Gutenberga. Na jednym ze stolików leżał katalog, lecz najpierw chciała obejrzyć obrazy, a potem dopiero zająć się książkami. Postanowiwszy, że jeszcze tu wróci, przeszła do salonu.

Salon był ogromny i robił imponujące wrażenie. Z sufitu zwisały przepiękne kryształowe żyrandole, a ściany pokryte były biało - zielonym marmurem o bardzo pięknym rysunku. Na ścianach wisiało kilka znakomitych płócien Reynoldsa, które świetnie harmonizowały z całością wnętrza. Imeldra przez dłuższy czas przyglądała się im z uwagą, zanim w końcu opuściła salon, aby udać się w stronę, gdzie spodziewała się znaleźć kolekcję obrazów.

Nie omyliła się i wkrótce ujrzała wielką galerię ciągnącą się przez całą długość budynku. Na widok tylu płócien nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia. Były tam dzieła Van Dycka, Rembrandta, Rubensa, Poussina. Wisiały przemieszane ze sobą bez żadnej koncepcji. Jednak każde z płócien było tak doskonałe, że gdy się patrzyło na jeden obraz, zapominało się o wszystkich pozostałych i tylko na nim skupiało się uwagę.

Gdy znalazła się w połowie długiej ściany, leżącej na wprost okien udekorowanych draperiami wykonanymi z haftowanego brokatu, zatrzymała się przed obrazem, który ją zainteresował i zadziwił. Kiedy mu się przyglądała, usłyszała

za sobą kroki i pomyślała, że to pan Gladwin przyszedł, aby jej towarzyszyć. Powiedziała mu odchodząc, gdzie będzie, i miała nadzieję, że porzuci na jakiś czas robotników, aby wspólnie z nią podziwiać pałacowe komnaty.

- Nietrudno mnie było odnaleźć - powiedziała nie odwracając się. - Zastanawiam się, jak to możliwe, że osoba obdarzona artystycznym smakiem mogła powiesić ten kicz obok takich wspaniałych dzieł. Markiz musi być albo głupi, albo ślepy!

Kroki zatrzymały się za jej plecami i obcy głos zauważył sucho:

- Mogę panią zapewnić, że nie jestem ani głupi, ani ślepy!

Imeldra odwróciła się gwałtownie. W niewielkiej odległości od niej stał wysoki, barczysty nie znany jej mężczyzna. Był nienagannie ubrany, miał wymyślnie zawiązany krawat, a jego spodnie koloru szampana były wpuszczone w wysokie lśniące buty.

W pierwszym momencie zwróciła uwagę nie na jego ubiór, ale na twarz, która choć urodziwa, lecz nie tak piękna jak twarz jej ojca, miała w sobie wyraz goryczy i cynizmu. Jego oczy patrzyły twardo, a gdy się jej przyglądał, miał wrażenie, jakby ją przenikał na wylot. W jego spojrzeniu było coś obraźliwego. Przez chwilę przyglądali się sobie, potem przybysz odezwał się.

- Kim pani jest? I co pani robi w galerii bez mego pozwolenia?

Kompletnie zbita z tropu, Imeldra złożyła przed nim pełen uszanowania ukłon.

- Proszę mi wybaczyć moją tu obecność - zaczęła się usprawiedliwiać - lecz sądziłam, że jego lordowska mość wyjechał z domu.

- Wróciłem nieoczekiwanie, ale to jeszcze nie powód, żeby pani znajdowała się tutaj i wygłaszała krytyczne opinie o moich obrazach.

- Teraz kiedy już pan mnie tu zastał, jestem przekonana, że zgodzi się pan ze mną i nie będzie mi poczytywał za impertyncję ani nie będzie mnie uważał za ignorantkę, jeśli powiem, że to malowidło jest kiczem i nie powinno tu wisieć.

- Nie dyskutujmy na temat moich obrazów - odezwał się markiz chłodnym tonem. - Zadałem pytanie, a pani mi nie odpowiedziała.

- Pytał pan, kim jestem. Otóż przyjechałam niespodzianie, żeby odwiedzić mojego dziadka, Williama Gładwina. Dziadek zapewniał mnie, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zostanę tu dzień lub dwa.

- Jest pani wnuczką Williama Gładwina? - zdziwił się markiz.

Z tonu jego głosu wnosila, że trudno mu wprost w to uwierzyć, dlatego rzekła szybko:

- Nazywam się Imeldra Gładwin i cieszę się, że mam okazję podziękować panu za gościnność i wyrazić nadzieję, że nie będę panu przeszkadzać.

- Oczywiście, że pani obecność nie będzie mi przeszkadzać - rzekł markiz z pewnym przymusem, jakby nic innego nie wypadało mu powiedzieć. - Mam jednak nadzieję, panno Gładwin, że pani wycofa swoje słowa, że jestem głupcem.

- Już to przecież zrobiłam, milordzie.

Słaby uśmiech pojawił się na ustach markiza.

- Odezwała się pani w taki sposób - powiedział - jakby się pani doskonale znała na obrazach, w co można wątpić, zważywszy pani młody wiek.

- Wiedza nie zawsze przychodzi z wiekiem, milordzie - odrzekła. - Często liczy się intuicja, której nie można się nauczyć, lecz trzeba się z nią urodzić.

Na ustach markiza igrał dziwny uśmiezek.

- Jeśli posiada pani tak doskonałą intuicję, to proszę mi powiedzieć, panno Gladwin, jaka może być przyczyna, że nie przewiesiłem obrazów w tej galerii i że nie usunąłem tego, który uważa pani za kicz.

Imeldra przechyliła głowę próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie. Patrzyła prosto na niego starając się przeniknąć jego myśli.

- Myślę, milordzie - rzekła - że nie miał pan jeszcze czasu, żeby poczynić zmiany w galerii, lecz... - przerwała na chwilę, a potem dodała powoli: - ...jest jeszcze inna przyczyna, której nie mogę zrozumieć, i to ona sprawia, że powstrzymuje się pan przed tym.

W oczach markiza widać było zdumienie.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - zapytał w taki sposób, jakby poczuł się urażony.

- Proszę mi wybaczyć... - odparła szybko. - Ale przecież sam mnie pan zapytał!

Spostrzegłszy, że może za bardzo się uniósł, powiedział innym już tonem:

- Tyle rzeczy w tym domu trzeba zmienić, że galeria obrazów może poczekać. - Mówiąc to rozejrzał się na wszystkie strony i jakby na potwierdzenie poprzedniego stwierdzenia dodał: - Wiele pracy mnie tu jeszcze czeka.

- To rozumiałe - powiedziała Imeldra. - Pomyślałam sobie, że salon sąsiadujący z biblioteką jest imponujący, taki właśnie, jaki być powinien.

- Cieszę się, panno Gladwin, że zdobył pani uznanie. - Ton jego głosu był bez wątpienia sarkastyczny.

Imeldra roześmiała się.

- Z czego się pani śmieje? - zapytał ostro.

- Ponieważ złości pana zarówno, kiedy coś chwale, jak gdy krytykuję, z tego tylko powodu, że jestem młoda. Gdybym wspierała się na dwóch kulach, z pewnością słuchałby pan moich słów z szacunkiem, niezależnie od tego, czy moje opinie zasługiwałyby na to, czy nie. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Tylko Anglicy przywiązują tak wielką wagę do wieku. Cudzoziemcy bardziej sobie cenią inteligencję i nie liczą tak skrupulatnie lat.

Teraz markiz wyglądał na zdumionego.

- Mówi pani w taki sposób, jakby pani wiele podróżowała.

- Istotnie, wiele podróżowałam - odparła - lecz dziwi to pana tylko dlatego, że jest pan Anglikiem.

- Mam wrażenie, że moja narodowość stanowi dla pani jakąś wadę - odparował markiz. - Zawsze sądziłem, że jest to coś, z czego powinienem być dumny i wdzięczny losowi.

- Tak uważa każdy Anglik - rzekła Imeldra. - Każdy żywi niezwykle silne przekonanie, że tylko to, co on myśli, jest słuszne i że gdy tylko przekroczy kanał La Manche, zetknie się z analfabetami i barbarzyńcami, a może nawet z kanibalami!

Mówiła to żartobliwie, jak zwykła była mówić do ojca. Spostrzegła, że z twarzy zdumionego markiza zniknął wyraz cynicznego znudzenia, który gościł do tej pory. Ponieważ, jak sądziła, dała mu już zbyt wiele do myślenia, odezwała się szybko:

- Czy mogę za zgodą jego lordowskiej mości kontynuować zwiedzanie galerii, czy woli pan raczej, żebym wróciła do dziadka?

- Chciałbym, żeby mi pani jeszcze coś powiedziała na temat moich obrazów i oczywiście mojej osoby - rzekł markiz.
- Jest pani, panno Gładwin, zadziwiającą kobietą.

- Cieszy mnie to niezmiernie.

- A to czemu?

- Ponieważ niespodzianki są zawsze interesujące. Gdyby ludzie byli zawsze takimi, jakimi się wydają, byłoby to strasznie nudne.

- Pani odpowiedź jest bardzo prowokująca - zauważył markiz. - Oczekuje pani zapewne, że ją zapytam, czy jestem takim, jak się pani spodziewała.

Imeldra zawahała się przez moment.

- To jest bardzo istotne pytanie. Ponieważ, jak sędzę, zależy panu na odpowiedzi, powiem panu, że i tak, i nie.

- Proszę mi to wyjaśnić bliżej! - rzekł rozkazującym tonem.

- Różni się pan oczywiście od dandysów, choć chciałby pan być za takiego uważany, lecz jest jeszcze w panu coś innego.

- Cóż takiego?

- Muszę mieć trochę czasu - powiedziała po chwili Imeldra - żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie. Mogłabym się pomylić w moich sądach. Może też powinnam dodać na swoją obronę, że jest pan nieco trudny do rozgryzienia.

Zupełnie nieoczekiwanie markiz roześmiał się.

- Wprost wierzyć mi się nie chce, że ta rozmowa rzeczywiście ma miejsce - rzekł. - Wraciałem do domu sądząc, że spędzę samotnie wieczór, że będę musiał zagłębić się w papierach, o których sama myśl wywoływała znudzenie. Jeśli ja jestem, pani zdaniem, inny, niż się pani spodziewała, to pani jest dla mnie absolutną niespodzianką. Proszę więc panią, żeby zechciała pani zjeść ze mną kolację.

Imeldra zawahała się przez moment. Propozycja była bardzo kusząca, a jednocześnie nie była pewna, czy powinna ją przyjąć.

- Jego lordowska mość chyba zapomniał, że przybyłam tutaj do mojego dziadka - odezwała się po chwili.

- Jestem przekonany, że pan Gładwin nie weźmie mi tego za złe - odpowiedział markiz.

- Muszę jednak poprosić go o pozwolenie.

- Czyżby robiła pani trudności?

- Zachowuję się właściwie i pan dobrze o tym wie.

- Uważam to za bardzo nudne.

Imeldra uniosła w górę brwi.

- To się nie zgadza z tym, co o panu słyszałam.

- A co pani o mnie słyszała? - zapytał.

- Że jest pan człowiekiem poważnym i krytycznie nastawionym wobec tych, którzy mówią i zachowują się niekonwencjonalnie.

Mówiąc to miała na myśli swojego ojca i przypomniała sobie, jak nieprzyjemnie stary markiz potraktował jej ojca. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że w jej głosie brzmiała gorycz i uraza.

- Cóż takiego zrobiłem, że zwraca się pani do mnie takim tonem - zapytał markiz po chwili.

Imeldra pojęła, że powiedziała zbyt dużo.

- Opinie, które słyszymy o bliźnich, nie zawsze pokrywają się z prawdą. Jednak „nie ma dymu bez ognia”, jak mawiała zwykle moja niania.

- Co pani insynuuje? - wykrzyknął markiz.

- Przepraszam - powiedziała Imeldra szybko. - Przy tak krótkiej znajomości zachowałam się zbyt poufale. To z mojej strony duże uchybienie.

- Z czego pani wnosi, że oczekuję od pani poprawnego zachowania? - zapytał markiz. - Jeśli istotnie mam opinię człowieka zasadniczego, nie moja w tym wina.

Imeldra nic nie odrzekła. Spoglądała tylko na niego z kpiącym wyrazem na twarzy.

- Posłałem po mojego zarządcę - powiedział po chwili - który teraz zapewne już na mnie czeka. Liczę na to, że zje pani ze mną kolację. Spotkamy się w salonie w pół do ósmej. - Imeldra zawahała się z odpowiedzią, a on dodał: - Jeśli pani woli, sam porozmawiam z pani dziadkiem.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że prośba ta będzie raczej rozkazem i że sprawi to przykrość panu Gładwinowi, a tego chciała mu oszczędzić.

- Ja sama mu o tym powiem - rzekła - lecz jeśli mi zabroni, nie będzie chyba miał mi pan za złe, że posłucham osoby, którą bardzo szanuję.

- Nie chcę nawet słyszeć o odmowie! - odezwał się markiz. - Pragnę, żebyśmy kontynuowali naszą rozmowę. Jako gość musi pani stosować się nie tylko do woli gospodarza, lecz także uznawać, że ma on także swoje prawa.

Imeldra roześmiała się i jej śmiech rozległ się po całej galerii.

- Jakże mogłabym nie przyjąć zaproszenia, które stanowi mieszaninę prośby, wyzwania i szantażu? - powiedziała składając przed markizem wdzięczny ukłon. - Mam nadzieję, że jednak zjemy razem kolację, milordzie.

Markiz patrzył na nią z takim wyrazem na twarzy, jakby uważał ją za nierzeczywiste zjawisko. Potem odwrócił się i odszedł, a jego kroki rozległy się echem po parkiecie. Gdy skręcił w korytarz, w galerii zapadła cisza. Imeldra patrzyła w ślad za nim, aż zniknął jej z oczu. Potem pomyślała, że u babki nie mogłoby jej spotkać nic równie ekscytującego.

Chciała wrócić do zwiedzania galerii, lecz zdawała sobie sprawę, że jej myśli błądzą gdzieś daleko. Zrozumiała, co miał na myśli pan Gładwin, kiedy mówił, że markiz jest jakiś dziwny. Skąd się brał u niego taki cynizm, jeśli posiadał wszystko, czego można sobie w życiu wymarzyć: urodę, zdrowie, bogactwo, pozycję i jeden z najwspanialszych

domów w Anglii? Miał też wielu krewnych, którzy zapewne przyklaskiwali wszystkiemu, co robił.

Jednak czuła intuicyjnie, że nie jest ani zadowolony, ani szczęśliwy, ani też dumny ze swego bogactwa. Działo się coś bardzo niedobrego. Musiała koniecznie dowiedzieć się, jaka jest przyczyna jego dziwnego zachowania.

Rozdział 3

Kiedy doszła do końca galerii, Imeldra postanowiła poszukać Williama Gladwina. Spodziewała się, że po nią przyjdzie, lecz gdy pojawiła się na placu budowy, okazało się, że dopiero zamyka na noc swój drewniany domek.

- Przepraszam - powiedział, kiedy się do niego zbliżyła. - Przykro mi, że nie mogłem towarzyszyć pani, jak obiecałem.

- Ktoś inny mi towarzyszył - odrzekła Imeldra. - William Gladwin spojrzał na nią pytająco. - Markiz wrócił do domu i zaproponował mi wspólną kolację.

- Bardzo chciałem uniknąć tego spotkania - odrzekł pan Gladwin marszcząc brwi. - Nie wiem, co pani ojciec powiedziałby na to zaproszenie.

- Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko temu, żebym zjadła kolację w towarzystwie markiza, choć zapewne uważałby, że i pan powinien zostać zaproszony.

William Gladwin roześmiał się.

- Zapewniam panią, lady Imeldro, że nie dążę do takich zaszczytów. Moi pracodawcy są wobec mnie bardzo uprzejmi, lecz nie siadam z nimi do stołu.

- Gdybym była rzeczywiście pańską wnuczką - rzekła Imeldra - powinnam odmówić naszemu gospodarzowi i dać mu do zrozumienia, że albo przyjdziemy razem, albo zjem kolację u siebie na górze.

William Gladwin zawahał się z odpowiedzią, lecz wkrótce znalazł rozwiązanie sytuacji.

- Proszę zostawić to mnie. Chodźmy do domu! Poszli w stronę pałacu, a ponieważ Imeldra czuła, że powziął jakieś postanowienie, nie zadawała mu zbędnych pytań, kiedy szli długim korytarzem w stronę holu.

Po powrocie, w holu dyżurowało czterech lokajów wraz z kamerdynerem.

- Czy byłby pan tak dobry i przekazał wiadomość jego lordowskiej mości - zwrócił się architekt do tego ostatniego.

- Ależ, oczywiście, panie Gładwin.

- Proszę mu przekazać, że bardzo dziękuję za zaproszenie na dzisiejszy wieczór, jednak jestem zbyt zmęczony po całym dniu pracy, żeby je przyjąć. Mam nadzieję, że jego lordowska mość to zrozumie. Natomiast moja wnuczka, Imeldra, będzie bardzo zaszczycona mogąc zjeść kolację w jego towarzystwie.

Nie czekając na odpowiedź kamerdynera pan Gładwin zaczął wchodzić na górę paradnymi schodami, a Imeldra podążyła za nim. Kiedy odeszli już wystarczająco daleko, że służba nie mogła ich słyszeć, Imeldra powiedziała:

- Bardzo sprytnie pan to wymyślił.

- Nie jestem przekonany, czy dobrze zrobiłem - odparł cicho - lecz przynajmniej służba nie będzie szeptać po kątach, że spędziła pani wieczór z jego lordowską mością sam na sam. Może pani być pewna, że nie otrzymałaby pani takiego zaproszenia, gdyby markiz wiedział, kim pani jest w istocie.

- To wydaje mi się bardzo zabawne! - rzekła.

- A ja jestem jednak tym zaniepokojony - powiedział pan Gładwin, gdy szli długim korytarzem w stronę wschodniego skrzydła.

- Nie ma powodu do obaw - odrzekła Imeldra. - Sama potrafię zadbać o siebie. Z zainteresowaniem będę obserwować, jak zachowuje się dobrze urodzony markiz wobec osoby, która nie jest damą z wielkiego świata.

Jej odpowiedź jeszcze bardziej zaniepokoiła pana Gładwina. Był tak przestraszony, że gotów odwołać swoje pozwolenie. Gdy tylko znaleźli się we wschodnim skrzydle, Imeldra usprawiedliwiając się zmęczeniem weszła zaraz do swego pokoju, usiadła na krześle i zaczęła zastanawiać się, co sprawia, że markiz jest taki cyniczny i zgorzkniały. Interesowało ją szczególnie, czemu tak bardzo go

zdenerwowało, kiedy mu powiedziała, że muszą być jakieś przyczyny, dla których pozostawił w galerii kiczowaty obraz.

Im więcej o tym myślała, tym dziwniejsze jej się to wszystko wydawało. W każdej innej części domu - jeśli mogła wyrobić sobie o tym zdanie zważywszy ogrom pałacu - wszystko było w doskonałym guście. Obrazy, meble, porcelana - wszystko było wspaniałe, jak mogła się tego spodziewać. A więc dlaczego markiz rozmyślnie pozostawił kicz w najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniu? Nie potrafiła na to znaleźć odpowiedzi. Ten problem nurtował ją, kiedy przebierała się do kolacji.

Ponieważ chciała zrobić na markizie jeszcze większe wrażenie, wybrała na ten wieczór uszytą w Londynie suknię bardziej strojną od pozostałych.

Gdy weszła do salonu, gdzie markiz już na nią czekał, wyglądała bardzo młodo i wiosennie. Światło żyrandoli zapalało złote iskierki w jej włosach i połyskiwało w drobniutkich diamencikach, którymi była ozdobiona jej suknia.

Szła powoli w jego stronę z gracją, która była przedmiotem dumy jej nauczycielki tańca, a jednocześnie w sposób swobodny i naturalny. Gdy zbliżyła się, złożyła przed nim wdzięczny dyg, a unosząc się w górę i spoglądając w jego oczy przekonała się, że dostrzega w nich wyraz podziwu.

- Dobry wieczór, milordzie - rzekła. - Mam nadzieję, że otrzymał pan wiadomość od mojego dziadka, który przeprasza, że nie może dziś przyjąć pańskiego zaproszenia.

- Otrzymałem - powiedział markiz z uśmiechem.

- Przykro mi, że musiałam zostawić dziadka samego - rzekła - lecz był w istocie bardzo zmęczony pracą, jaką wykonuje dla pana, więc chyba dobrze się stało, że mógł sobie odpocząć.

- Jak widzę, panno Gladwin - powiedział markiz oschle - ma pani zastrzeżenia co do moich dobrych manier i usiłuje pani wzbudzić we mnie poczucie winy.

Ponieważ zaimponowała jej jego domyślność i sposób, w jaki odpowiedział na jej wyzwanie, Imeldra roześmiała się i zdawało jej się, że dostrzegła iskierki rozbawienia w ciemnych oczach markiza.

- Może napije się pani szampana? - zapytał.

- Z przyjemnością, ale tylko troszeczkę - odrzekła.

- Oczywiście - powiedział markiz. - Jest pani zbyt młoda, żeby pić alkohol.

Imeldra westchnęła.

- Znów wracamy do kontrowersji odnośnie do wieku - odezwała się. - Nie zdziwi się pan zatem, jeśli powiem, że wcześniej chodzę spać.

Teraz z kolei markiz roześmiał się.

- Jest pani rozbijającą szczerą, panno Gladwin - powiedział. - Pierwszy raz w życiu zdarza mi się jeść kolację z damą, która już w pierwszych minutach spotkania ostrzega mnie, że może się poczuć znudzona moim towarzystwem.

- Lubię być oryginalna - oświadczyła Imeldra biorąc z jego rąk kieliszek szampana. - Choć niełatwo za taką uchodzić w pana oczach zważywszy szeroki krąg pańskich znajomych, milordzie.

Usiadła na sobie pokrytej błękitnym adamaszkiem i stwierdziła z radością, że ten ulubiony przez Bouchera kolor stanowi wspaniałe tło dla jej białej sukni i rudozłotych włosów. Markiz usiadł obok niej w pewnej odległości, żeby móc się jej przyglądać.

- Jak pani już wspomniała, wciąż wracamy do rozmowy o wieku - zauważył markiz. - Lecz chciałbym naprawdę wiedzieć, chyba że zaprzedała pani duszę diabłu w zamian za piękną twarzyczkę, skąd się bierze u pani taka pewność siebie

i tak błyskotliwa inteligencja, jakiej nie powstydzilaby się kobieta, która w wielkim świecie spędziła co najmniej trzydzieści lat.

- Tym razem obdarzył mnie pan komplementem - wykrzyknęła Imeldra. - A tego bardzo mi brakowało w całej naszej dotychczasowej rozmowie.

- A co by pani chciała, żebym pani powiedział? - zapytał.
- Że jest pani bardzo piękna?

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów w sposób, który wydał się Imeldrze wysoce obraźliwy. Potem uświadomiła sobie, że markiz zachowuje się wobec niej tak obcesowo, ponieważ nie przychodzi mu nawet do głowy, że debiutantka, prosto po ukończeniu szkoły, może rozmawiać z nim w ten sposób, a już na pewno nie jadłaby z nim kolacji sam na sam.

„Dla niego nie jestem przecież debiutantką - powiedziała do siebie. - Jestem tylko wnuczką człowieka, którego zatrudnia u siebie w domu.”

Ponieważ jednak była przekonana, że pod opieką ciotki nie mogłaby pod żadnym pozorem rozmawiać z mężczyzną tak szczerze i otwarcie, postanowiła wykorzystać to doświadczenie w całej rozciągłości. Być może było to lekkomyślne z jej strony, być może naganne, lecz na nic nie zważała. Jej ojciec zachowywał się jeszcze bardziej lekkomyślnie i choć pod wieloma względami była jego wyraźnym odbiciem, jednak w tym przypadku zapewne by jej nie pochwalił. Sącząc szampana zastanawiała się nad odpowiedzią, wreszcie po krótkiej chwili zdecydowała się i powiedziała:

- Dziękuję za komplement, milordzie. Dzięki niemu będę się czuła jak u siebie w tym pięknym salonie wśród tylu zapierających dech skarbów, z których jest pan zapewne bardzo dumny.

- Czy pani rzeczywiście domaga się mojego zapewnienia, że na tle tej kolekcji pani błyszczy najbardziej? - zapytał markiz, a w jego głowie zabrzmiała szydercza nuta.

- Nie, wcale nie czuję się zawstydzona przebywając w tak pięknym otoczeniu - odrzekła. - Gdy dostrzegam coś pięknego, zawsze mi się wydaje, że stanowi to część mojej osoby i że nikt mi tego wrażenia nie może odebrać. Pański komplement przyjąłam po prostu jako wyraz pańskich uczuć.

Była przekonana, że po raz kolejny zadziwiła markiza swoją wypowiedzią.

- Chciałbym, żeby mi pani wyjaśniła dokładniej - powiedział - co ma pani na myśli mówiąc, że każdy piękny przedmiot, który pani widzi, staje się częścią pani osoby.

- Bardzo trudno wyrazić to słowami - rzekła. - Kiedy stałam na ruinach świątyni Apollina w Delfach i patrzyłam na widok, który zniewolił Apolla i zmusił do pojawienia się na brzegu, aby uczynić swoją własnością ten skrawek Grecji, czułam, że przez ułamek sekundy ta ziemia staje się również moją.

Mówiła bardzo powoli wspominając i przeżywając jeszcze raz magiczny moment, który utrwalił się w jej pamięci i sercu. Potem spojrzała na markiza i przekonała się, że przygląda jej się nie tyle ze zdumieniem, ile wprost z osłupieniem.

- Teraz rozumiem, że to sen - powiedział. - Pani nie może być rzeczywistą istotą. Pani zstąpiła chyba z ram jednego z moich obrazów, aby mnie wprowadzić w zakłopotanie. A może przybyła pani z przelatującej gwiazdy.

- Może pan, jak zechce, domyślać się, jak tu się znalazłam.

Starła się, żeby jej słowa zabrzmiały lekko, lecz dziwnym sposobem nabrały poważnego znaczenia i gdy spojrzała na markiza, trudno jej było odwrócić od niego wzrok.

Przez całą kolację toczyli słowne pojedynki, a Imeldra starała się ze wszystkich sił, żeby go zadziwić i sprowokować. Dostrzegła wyraźnie, że w miarę jak rozwijała się ich wieczorna rozmowa, cyniczny wyraz na twarzy markiza zdawał się słabnąć, a w jego spojrzeniu już nie było tej twardości, jaka rzuciła jej się w oczy, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Spostrzegła także, że kiedy wybuchał śmiechem, co zdarzało się bardzo często tego wieczora, stary kamerdyner, który im usługiwał przy stole, miał ogromnie zdziwioną minę, jakby uśmiech był czymś niezwykle rzadkim w Marizon.

Kolacja była wyśmienita, a markiz siedzący na czołowym miejscu przy stole ozdobionym złotymi kandelabrami i wspaniałą zastawą prezentował się znakomicie. Ta zastawa zarówno wiekiem, jak też wartością przewyższała nakrycia używane w Kingsclere. Trochę ją to rozzłościło, lecz jednocześnie pomyślała, że u niej w domu atmosfera była pogodniejsza niż w Marizon, gdzie, jak słusznie zauważył pan Gładwin, coś się czaiło w powietrzu.

Nie ośmielała się o nic pytać, wiedziała jednak, że ten problem dotyczy samego markiza. W czasie trwania kolacji im bardziej Imeldra zachwycała go i oszołamiała, tym bardziej czuł się odprężony i swobodny. Jednak wciąż było w nim coś, czego nie mogła zgłębić - jakaś rezerwa, napięcie, coś takiego, co dawało się wyczuć

bardzo wyraźnie. Imeldra od czasów dzieciństwa posiadała pewną specyficzną wrażliwość czy też instynkt, jak to ludzie czasem nazywają. Pamiętała, jak niania powiedziała do niej, kiedy była mała:

- Jesteś małą czarodziejską, lecz jeśli nie będziesz uważać, możesz wyrosnąć na czarownicę. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie?

- Będę latać na miotle - odrzekła Imeldra.

Lecz niani to wcale nie rozbawiło. Kiedy była starsza, spostrzegła, że potrafi określić charakter ludzi zaraz po pierwszym z nimi spotkaniu i że rzadko się myli.

- Nienawidzę tej kobiety - powiedziała kiedyś do matki po wyjściu zaproszonej damy. - Ona jest zła.

Matka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Jak możesz mówić, kochanie, coś podobnego? - rzekła. - Chciałabym, żeby lady Bury została moją przyjaciółką. Nigdy nie słyszałam o niej niczego złego.

- Ona jest zła i pewnego dnia przekonasz się, że miałam rację - upierała się przy swoim Imeldra.

Dwa lata później owa dama została oskarżona o znęcanie się nad stajennym, który jej zdaniem nie zajmował się końmi jak trzeba. Pobiła go tak mocno szpicrutą, że rodzice chłopca złożyli na nią skargę do sądu. Nie doszło wprawdzie do rozprawy, jednak wybuchł towarzyski skandal i lady Bury, aby uniknąć nieprzyjemności, wyjechała za granicę.

W szkole Imeldrę prześladowały koleżanki, żeby przepowiadała im przyszłość. Ale niezbyt to lubiła. Bez trudu potrafiła przewidzieć, jakie życie czeka jej przyjaciółki. W większości przypadków był to model typowy dla kobiet ich sfery. Najpierw małżeństwo zaaranżowane przez ambitną matkę, później nudna egzystencja na wsi, rodzenie dzieci, gdy tymczasem arystokratyczny małżonek zabawiał się w Londynie.

Czasami wyczuwała tragedię lub nieszczęście, a wówczas wzbraniała się przed wyjawieniem prawdy zainteresowanej osobie, a tylko starała się ją ostrzec w bardzo delikatny sposób. Był to dar, z którego nie była wcale dumna. Przysparzał jej więcej kłopotów niż przyjemności, jak to wyznała kiedyś ojcu.

- Twoja matka była Szkotką - odpowiedział ojciec. - Płynie w tobie również irlandzka krew. Mój ojciec na

przykład był bardzo dumny ze swoich kornwalijskich przodków. - W jego oczach zapaliły się ogniki, kiedy mówił: - Innymi słowy stanowisz, kochanie, krzyżówkę z przewagą krwi celtyckiej. Nic więc dziwnego, że posiadasz dar jasnowidzenia.

- Bardzo mi to przeszkadza, papo - skarżyła się. - Wiem wszystko o każdym człowieku zbyt szybko, a przez to jestem pozbawiona radości stopniowego poznawania.

Ojciec znów się roześmiał.

- Raczej należałoby być wdzięcznym losowi, niż się skarżyć - powiedział. - A teraz za karę zabaw się we wróżkę i powiedz mi, co sądzisz o nowym majordomusie, którego właśnie zatrudniłem.

- Widziałam go - rzekła Imeldra. - Myślę, że popełniłeś omyłkę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał hrabia.

- Stara się być zbyt miły, zbyt pochlebny, żeby można mu było zaufać. Uważaj, papo, jestem niemal pewna, że cię oszuka.

Dzięki temu ostrzeżeniu hrabia baczniej przyglądał się nowemu służącemu i nie minęły trzy tygodnie, kiedy wykrył jego matactwa i zwolnił go.

W przypadku markiza Imeldra czuła, jakby dzieliła ją od niego nieprzekraczalna bariera i fakt ten bardzo ją podniecał. Kiedy po spożyciu kolacji wrócili do salonu, Imeldra spostrzegła, że rozpalono w kominku. Zamiast usiąść na sobie jak poprzednio, zbliżyła się do kominka, usiadła na jednym z foteli i wyciągnęła dłonie w stronę ognia.

- Czy jest pani zimno? - zapytał markiz.

- Często zimową porę marznę w Anglii - odrzekła. - Marzę wówczas, żeby się znaleźć w Egipcie czy w Afryce Północnej, gdzie jest ciepło i słonecznie.

- Kim jest pani ojciec, że może pani tak często podróżować za granicę? - zainteresował się markiz.

- Jest badaczem i podróżnikiem - odrzekła po chwili zastanowienia i pomyślała jednocześnie, że jest to prawda, ponieważ hrabia bardzo lubił odkrywać nowe miejsca.

Postanowiła, że musi zapamiętać to wyjaśnienie i powiedzieć o tym panu Gładwinowi.

- Nie wygląda pani wcale na córkę podróżnika - zauważył markiz. - Te, które spotykałem, nosiły ciężkie buty i osłaniały przed owadami twarze woalem.

Imeldra zaśmiała się.

- A skąd pan może wiedzieć, że nie wyglądam tak jak one, kiedy nie spożywam kolacji w tak pięknym pałacu jak ten?

- Niech mi pani coś o sobie opowie - poprosił markiz nachylając się w jej stronę.

Spojrzała na niego i pomyślała, że chętnie by to uczyniła, lecz postanowiła mieć się na baczności. Znając opinię o jego poczuciu przyzwoitości i ścisłym trzymaniu się zasad wiedziała, że zmusiłby ją, żeby natychmiast wyjechała do babki.

- A co chce pan wiedzieć? - zapytała.

- Czemu jest pani taka właśnie, jaka pani jest, i czemu zachowuje się pani tak tajemniczo?

- Ja jestem tajemnicza? - zdziwiła się Imeldra. - Wydaje mi się, że jestem bardzo szczera.

- Nic podobnego - powiedział markiz. - Odniosłem wrażenie, że wszystko, co mi pani o sobie powiedziała, zostało wybrane specjalnie, żeby mnie zadziwić. - Przerwał, a po chwili mówił dalej: - Rozmowa z panią jest niczym rozwiązywanie zagadki. Gdy już mi się zdaje, że znalazłem rozwiązanie, okazuje się to pułapką i muszę szukać innego

wyjścia z tego labiryntu. Nigdy nie byłem dalej od celu moich dociekań.

- A co jest tym celem?

- Chciałbym zrozumieć, jak to się stało, że tak czarująca osoba spędza ze mną dzisiejszy wieczór. Imeldra wykonała dłonią nieokreślony gest.

- I co jeszcze pana interesuje? - zapytała.

- Tak wiele jest tych pytań, że trudno mi po prostu wybrać - powiedział. - Ciekaw jestem na przykład, czy ktoś panią kiedyś całował? Imeldra zaniemówiła.

- Czy nie jest to zbyt intymne pytanie, jak na tak krótką znajomość - rzekła. - Przypuśćmy, że to ja zadałam panu tego rodzaju pytanie?

- Czy pani rzeczywiście sądzi, że nasza znajomość jest krótka - odezwał się markiz po chwili milczenia. - Co do mnie, wydaje mi się, Imeldro, jakbym znał panią od bardzo dawna, jakbyśmy się znali od początku świata, lecz przez przypadek nie spotkali do tej pory. Jednocześnie odnoszę wrażenie, jakby pani była tylko wytworem mojej wyobraźni, senną zjawą.

Ton, jakim to mówił, był zupełnie inny niż ten, jakim posługiwał się podczas ich słownych pojedynków, i to sprawiło, że Imeldra spojrzała na niego zdumiona. Markiz wyciągnął ręce, ujął ją pod łokcie i zbliżył jej twarz ku sobie. Nie bronila się, było to wprost niemożliwe. Patrzył jej prosto w oczy.

- Pani mnie zaczarowała. Co ja mam z tym zrobić?

- A co chce pan zrobić?

- Domyśla się pani zapewne, że chciałbym panią pocałować - odrzekł markiz - lecz ponieważ jest pani gościem w moim domu i ponieważ zaprosiłem panią na kolację, staram się zachowywać poprawnie.

- Dziękuję panu - rzekła Imeldra - nikt mnie jeszcze nie pocałował, a dawno dawno temu postanowiłam, że pozwolę na to mężczyźnie, którego pokocham całym sercem i który mnie pokocha także równie mocno.

Mówiła to spokojnie, choć markiz wciąż trzymał ją przy sobie. Nie bała się, lecz była zupełnie pewna, choć nie widziała, na czym ta pewność się opiera, że markiz nie urazi jej uczuć i nie będzie starał się uczynić niczego wbrew jej woli.

- Takich słów właśnie się po pani spodziewałem - powiedział. - Jak to możliwe, że wiemy o sobie tak wiele?

Mówił to niskim głosem, który zdawał się trącać czułe struny w sercu Imeldry. Całą swoją istotą odpowiadała na wysyłane przez niego sygnały, co jeszcze nigdy w życiu jej się nie zdarzyło.

- Proszę mi powiedzieć, co pani o mnie myśli. Muszę to wiedzieć - rzekł po chwili widząc, że Imeldra milczy.

- Zastanawiam się - odezwała się, jakby zmuszona przez niego do wyjawienia prawdy - i to od pierwszej chwili, kiedy pana ujrzałam, dlaczego pan nie jest szczęśliwy. Ma pan wszystko, co potrzebne do szczęścia, a jednak jest coś, co rani pana głęboko, a ja nie potrafię tego odgadnąć.

Palce markiza zacisnęły się na jej ramionach aż do bólu. Puścił ją nagle, że osunęła się na swoje miejsce, a on wyprostował się.

- Jak to pani wyraziła - powiedział - jest coś, co mnie gnębi, lecz właśnie o tym nie chciałbym rozmawiać. - Zupełnie innym już tonem, który zdawał się zgrzytać w powietrzu, rzekł: - Pokażę pani moje obrazy. Zauważyłem, że bardzo się pani nimi interesuje.

Odszedł od kominka i stanął przed jednym z płócien Reynoldsa, które wprowadziło ją w zachwyty wczorajszego wieczora. Przedstawiało jednego z przodków markiza, który

został sportretowany w wojskowym czerwonym mundurze obok swojego konia. Markiz patrzył na obraz i Imeldra była przekonana, że nie widzi portretu, tylko ciemność na dnie własnej duszy.

Stała przed kominkiem, lecz niespodzianie poczuła zimno, jakby markiz wyrzucił ją z domu, a ona znalazła się nagle samotna na jałowej pustyni. Nic nie mówiła, stała tylko i patrzyła na niego, chcąc mu w jakiś sposób pomóc. Każda cząstka jej ciała, każdy nerw wyrywał się ku niemu, bo choć nie odzywał się, czuła, że bardzo jej potrzebuje.

Markiz odwrócił się niespodzianie od obrazu i wówczas spojrzeli na siebie przez całą szerokość pokoju. Przez moment żadne z nich nie wykonało najmniejszego ruchu ani nie odezwało się nawet słowem. Po chwili markiz powiedział:

- Niech pani, na miłość boską, nie stara się utrudniać mi jeszcze bardziej sytuacji, która jest dla mnie wystarczająco trudna!

Jego słowa rozległy się echem po całym pokoju. Wkrótce zbliżył się do drzwi i wyszedł z salonu zostawiając Imeldrę samą.

* * *

Kiedy Imeldra znalazła się w łóżku, wprost wierzyć jej się nie chciało, że wieczorne spotkanie z markizem skończyło się tak nagle. Nie mogła zasnąć, bo wciąż jej się zdawało, że słyszy bolesną nutę w jego głosie, i była głęboko przekonana, że on cierpi.

„Wyczuwam wyraźnie jego cierpienie - pomyślała. - Czuję się tak, jakbym to ja sama cierpiała, jakbyśmy byli oboje jednym ciałem”.

Ponieważ przeraziło ją to spostrzeżenie, starała się myśleć o rodzicach, byle tylko nie o markizie, lecz było to ponad jej siły. Obudziła się wcześniej z poczuciem, że dramat, jaki

rozegrał się wczorajszego wieczora, jest po prostu śmieszny i że stanowi twój jej wyobraźni.

„Posunęłam się stanowczo za daleko w moich przypuszczeniach” - pomyślała, a potem zapytała samą siebie, czemu to wszystko, co usłyszała, wywarło na niej tak głębokie wrażenie, czemu ich rozmowa w salonie, pełna początkowo śmiechu i przekomarzania się, nagle spoważniała i każde z nich znalazło się w osamotnieniu, jakby pomiędzy nimi wyrósł jakiś mur.

Imeldra nie mogła już dłużej spać, wstała więc z łóżka i zadzwoniła na służącą, a kiedy do sypialni weszła Emma, poleciła jej, żeby zapytała, czy jest możliwe przygotowanie konia do porannej przejażdżki. Była niemal całkowicie ubrana, kiedy służąca pojawiła się z wiadomością, że za dziesięć minut przy bocznych drzwiach będzie czekał na Imeldrę osiodłany wierzchowiec.

W pośpiechu włożyła kostium do konnej jazdy, a gdy umocowywała na głowie wysoki kapelusz z woalką, zastanawiała się, czy nie natknie się przypadkiem podczas przejażdżki na markiza. Pomyślała, że mógłby uznać za zuchwałość z jej strony, gdyby zobaczył, że ośmiela się ujeżdżać jego konie. Potem pomyślała jednak, że po tym, co się wydarzyło, nic już nie może jej zadziwić.

Poszła w stronę bocznego wyjścia i, jak było do przewidzenia, oczekiwał już tam na nią osiodłany koń pełnej krwi oraz stajenny, który miał jej towarzyszyć podczas przejażdżki. Stajenny pomógł jej usadowić się na siodle, układając fałdy jej szerokiej spódnicy, następnie wskazał drogę do frontowego wejścia i dalej do parku.

Koń, którego dostała, był niezwykle wrażliwy na każdy jej ruch. Pomyślała, że dano jej dobrze wyszkolonego wierzchowca na wypadek, gdyby się okazała słabym jeźdźcem. Ponieważ jednak jeździła wiele na koniach

należących do ojca, jak również nie zaniedbywała konnych przejażdżek podczas zagranicznych podróży, radziła sobie z każdym, nawet najbardziej narowistym zwierzęciem. Tego ranka miała ochotę oddać się rozmyślaniom, więc ucieszyło ją bardzo, że nie będzie musiała toczyć walki z koniem, a pozostanie jej tylko uporanie się z własnymi myślami.

Jechali przez park i stajenny powiedział jej, że po drugiej stronie sosnowego lasu znajduje się miejsce, gdzie markiz ćwiczy swoje konie. Imeldra podziękowała mu za tę informację i wjechała pomiędzy drzewa. Przy pochmurnym ranku las ze swą ciemnozieloną gęstwiną wydał jej się równie tajemniczy i nieodgadniony jak sam markiz.

Na płaskim terenie za lasem znajdowała się trasa do galopowania mająca ponad milę długości. Imeldra przynagliła konia mając nadzieję, że galop dobrze jej zrobi, uwolni od gnębiących problemów i nada pogodniejszy bieg myślom. Znajdowała się właśnie w połowie trasy, kiedy ujrzała jeźdźca wynurzającego się z gęstwiny drzew i od razu rozpoznała, kto to taki.

Kiedy zbliżyła się do markiza, jego koń wyrwał się do przodu i tak pędzili obok siebie z zawrotną szybkością, która dawała im radość i wytchnienie. Jechali coraz szybciej i szybciej i dopiero pod koniec trasy wstrzymali konie.

- To było wspaniałe! - powiedziała Imeldra ze śmiechem do markiza, kiedy się zatrzymali.

- Podejrzywałem, że jeździ pani doskonale - rzekł.

- Natomiast pan wygląda jak przyrośnięty do konia - odpowiedziała bez zastanowienia.

Była to prawda. Na ogromnym czarnym ogierze o pięknej głowie markiz prezentował się imponująco. Był lepszym nawet jeźdźcem niż jej ojciec, który też jeździł znakomicie. Imeldra pomyślała, że markiz wygląda jak bóg, który zjechał z Olimpu, żeby znaleźć się pośród ludzi.

- Jeśli ja zszedłem z Olimpu, to pani również stamtąd pochodzi! - odezwał się markiz odgadując tok jej myśli.

- Skąd pan wie, że właśnie nad tym się zastanawiałam?

- Z tego samego źródła, które pozwala pani czytać w moich myślach - odrzekł.

- Lecz mnie nie udaje się poznać wszystkich pańskich myśli.

- Sądzę, że pani również coś ukrywa przede mną - powiedział. - Uprzedzam, że będę się starał pani w tym przeszkodzić. - Ponieważ Imeldra milczała, mówił dalej: - Spodziewałem się spotkać panią o nieco późniejszej porze. Chciałem przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. Tyle tylko mogę pani teraz powiedzieć, że mam pewien sekret, którego nie mogę obecnie wyjawić. Proszę o wybaczenie i mam nadzieję, że zgodzi się pani kontynuować naszą przerwana nagle rozmowę.

Imeldra spojrzała na niego i obydwójce wolno wrócili tą samą drogą, którą odbyli poprzednio galopem.

- Ale pani mi nie odpowiedziała na moją propozycję - rzekł markiz po chwili.

- Zastanawiam się, co mam panu powiedzieć.

- Proszę się już o to nie kłopotać i wszystko zostawić mnie - rzekł. - Tyle rzeczy chciałbym pani pokazać, o tylu sprawach porozmawiać. Boję się tylko, że może mnie pani opuścić tak samo niespodzianie, jak się pojawiła.

- Czy moje pojawienie się było rzeczywiście niespodziane i zagadkowe? - spytała myśląc o tym, że William Gladwin jest jej rzekomym dziadkiem.

- Pani przybycie jest dla mnie największą zagadką - powiedział markiz.

Ponieważ pomyślała, że lepiej nie dyskutować z nim na ten temat, zapytała:

- Co chce mi pan pokazać najpierw?

- Tysiące różnych rzeczy - odpowiedział - a zajmie mi to tysiące lat. Ponieważ mamy dzisiaj ładny dzień, może rozpoczniemy od budowli, która została wzniesiona na cześć mojej prababki.

- To bardzo interesująca propozycja - odezwała się Imeldra z lekką kokieteryą w głowie.

- Pojedziemy tam powozem - wyjaśnił markiz - nie zajmie nam to wiele czasu. Czy mogłaby pani być gotowa o wpół do dwunastej? Chciałbym, żebyśmy też zjedli razem obiad.

- Wyśmienicie, bardzo mnie to cieszy - uśmiechnęła się do niego promiennie.

- W takim razie jesteśmy umówieni - powiedział, a w jego głosie wyczuła radość. - I aby to uczcić, proponuję, żebyśmy się ścigali od tego miejsca do końca trasy.

Markiz wygrał wyścig o długość konia. Imeldra pomyślała, że stało się tak dlatego, że miał większego i lepszego konia. Lecz przyszło jej też na myśl, że jest tak doskonałym jeźdźcem, iż zwyciężyłby niezależnie od dosiadanego wierzchowca. Ponieważ przy końcu trasy na Imeldrę oczekiwał stajenny, markiz uchylił kapelusza i powiedział oficjalnym tonem:

- Myślę, że Jim przeprowadzi panią bardzo przyjemną drogą przez las w kierunku domu. Życzę udanego dnia, panno Gladwin.

. - Do widzenia, milordzie - odrzekła Imeldra.

Gdy odjechał, poczuła się nieco zasmucona. Potem pomyślała, że markiz nie chciał, by chłopcy stajenni zaczęli rozsiewać plotki na temat ich spotkania. Wydawało jej się, że stara się uniknąć jakichkolwiek domysłów. Lecz wkrótce przyszło jej na myśl, że to przypuszczenie jest niepoważne. Przecież służba i tak wiedziała, że jedli razem kolację, a ponadto wszyscy dowiedzą się o ich planowanej południowej

przejażdżce. Mógł nie chcieć się z nią za często widywać, lecz nie wydało jej się to zbyt prawdopodobne.

„On zachowuje się bardzo tajemniczo” - stwierdziła i przez całą drogę powrotną do domu nie mogła powstrzymać się od myśli o markizie.

* * *

Jazda powozem na wysokich kołach zaprzężonym w doskonale dobraną parę kasztanków sprawiła jej ogromną przyjemność, której wprost nie dało się opisać słowami, a w dodatku była sam na sam z markizem. Kiedy zeszła na dół ubrana w jedną ze swoich najpiękniejszych sukien, w słomkowym kapeluszu przybranym polnymi kwiatami, stwierdziła ze zdziwieniem, że nie jedzie z nimi stajenny. Kiedy oddalili się od domu, zabierając ze sobą koszyk z prowiantem, markiz jakby odpowiadając na jej nie wypowiedziane słowami pytanie rzekł:

- Chowam te konie od źrebiąt, zajmowałem się także ich szkoleniem. Przychodzą na każde moje zawołanie, więc kiedy je zaprzęgam, niepotrzebny mi jest stajenny.

- Jak pan się domyślił, że to właśnie chciałam wiedzieć? - zapytała Imeldra.

Pominał to pytanie milczeniem, a ponieważ obydwójce wiedzieli, że potrafią odczytywać swoje myśli, odpowiedź była właściwie zbędna.

- Czy pokaże mi pan swoje stajnie? - poprosiła po chwili.

- To jeszcze ich pani nie widziała? - zdziwił się.

- Zapomina pan, że przyjechałam dopiero wczoraj. Mówiąc to odnosiła wrażenie, jakby tu przebywała od lat i jakby markiz był częścią jej życia. Potem pomyślała, że to przecież absurd. Przyszło jej do głowy, iż markiz dlatego zrobił na niej tak duże wrażenie, że przebywając w szkole nie miała okazji spotykać interesujących i inteligentnych mężczyzn, którymi otaczał się jej ojciec.

„Ponadto jestem teraz starsza - powiedziała do siebie - więc nic dziwnego, że teraz bardziej interesuję się mężczyznami, niż gdy byłam uczennicą.”

Jednak gdzieś w zakamarkach mózgu pojawiała się myśl, że wszystko to nieprawda i że bliskości, jaka połączyła ją i markiza, nie da się wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób.

- Kiedy ujrzałem panią dzisiejszego ranka - odezwał się markiz wpatrując się w końskie łby - pomyślałem, że jest pani ładniejsza niż wczoraj, lecz oto teraz jest pani jeszcze piękniejsza.

Mówił to niskim głosem wzbudzając w sercu Imeldry dziwne drżenie, czuła się ponadto zawstydzona, rzekła więc szybko:

- Mówiono mi o panu, że zachowuje się pan zazwyczaj z rezerwą, lecz po tej pięknej przemowie widzę, że to nieprawda.

- Muszę wyznać pani szczerze, że nie wygłaszam pięknych przemów - wyjaśnił markiz. - Myślę, że już to pani zauważyła. - I nie czekając na odpowiedź Imeldry zapytał: - Czy myślała pani o mnie wczorajszego wieczoru?

- A czy pan sądzi, że mogłabym tego nie robić? - odparła.

- Nie miałem na względzie mojego zachowania, za które już panią przeprosiłem, lecz czy myślała pani o mnie jak o mężczyźnie?

- Trudno by mi było powstrzymać się od tego.

- Więc jednak pani próbowała?

- Próbowałam, oczywiście że próbowałam - odrzekła Imeldra. - Lubię wprawdzie zagadki, ale nie takie, których nie potrafię rozwiązać.

- A więc tym była pani zajęta - powiedział markiz. - Proszę tego więcej nie robić.

- Czemu?

- Ponieważ nie powinna pani odkryć tajemnicy markiza Marizon.

- Rozumie pan chyba, że nie tylko chciałabym ją poznać, ale że przede wszystkim chciałabym panu pomóc.

Markiz zaśmiał się, lecz w jego uśmiechu nie było ani krzty wesołości.

- Pod żadnym pozorem nie powinna pani tego robić.

- Czy może mi pan wyjaśnić dlaczego?

- Nie mogę.

- Bardzo pan utrudnia moją sytuację.

- A czemuż to pani sytuacja miałaby być trudna? - zapytał niemal z irytacją. - Dlaczego mam opowiadać o sprawach, które pani nie dotyczą? - Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: - Cała ta rozmowa jest po prostu śmieszna. Jako gospodarz goszczący w swoim domu młodą damę, staram się panią zabawiać, jak umiem. Czemu nie chce pani po prostu odgrywać swojej roli i cieszyć się z tego...

- ...i jeszcze na dodatek - przerwała mu Imeldra - czuć się zaszczycona pańską łaskawością.

- Nie jest to uwaga, jakiej mógłbym się spodziewać po młodej damie - rzekł markiz.

- Choćby tej młodej damie udało się raz jeden zainteresować sobą markiza, nie zostałyby zapewne zaproszona po raz drugi.

- Któż to może wiedzieć. Może uznałbym, że jest to osoba bardzo interesująca - odpowiedział.

- Śmiem w to wątpić. Gdy ta młoda dama wpatrywałaby się w pana olśniona pańską prezencją i tytułem, pan tymczasem zateśkniłby za bardziej doświadczonymi pięknosciami, którym złamał pan serce będąc w Londynie.

Markiz roześmiał się.

- Skąd pani to przyszło do głowy, że zostawiłem w Londynie wyrafinowane piękności?

Imeldra pomyślała, że wiele mogłaby mu opowiedzieć o pięknych paniach, z którymi jej ojciec spędzał tak wiele czasu. Sądziła, że damy, które prześladowały go w Londynie, nie różniły się niczym od tych, które uganiały za nim w Paryżu, Rzymie czy w innym miejscu, gdzie się zatrzymali podczas swoich podróży. Lecz przyszło jej na myśl, że mówiąc to mogłaby się zdradzić, więc aby zapobiec kłopotliwym pytaniom, zagadnęła:

- Czy jego lordowska mość był zakochany? Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Czy pani mi uwierzy, jeśli powiem pani prawdę?

- To zależy, jaka to będzie prawda.

- Jeśli chodzi o taką miłość, jak ją pani rozumie, to odpowiedź brzmi: „nigdy”.

- Dlaczego moje pojęcie o miłości miałoby się różnić od wyobrażenia innych ludzi?

- Ponieważ dla pani, istoty pochodzącej z Olimpu - rzekł markiz - miłość oznacza coś idealnego, pełnego ekstazy i nieziemskich przeżyć.

Gdy to mówił, Imeldra czuła, że tak właśnie wyobraża sobie miłość. Była to miłość, jaką żywili wobec siebie jej rodzice, a także miłość, o jakiej sama marzyła. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, nie odzywała się i jechali przez jakiś czas w milczeniu. Nagle przed ich oczami pojawiła się dziwna budowla przypominająca nieco Krzywą Wieżę w Pizie.

- Czy to ten monument zbudowany ku czci pańskiej prababki? - zapytała.

- Może nie jest to właściwe określenie - rzekł markiz. - Jest to po prostu budowla postawiona przez mojego pradziadka dla upamiętnienia miłości, jaką żywił do zmarłej żony.

- A więc jest to coś w rodzaju mauzoleum niczym Tadz Mahal w Indiach - wyszeptała Imeldra.

- Właśnie!
- To musiała być miłość idealna - powiedziała Imeldra.
- Oczywiście! - przytaknął markiz. - Ludzie, którzy wznosili tego rodzaju monumenty, musieli przeżywać miłość, o której przed chwilą mówiliśmy.
- Miłość, o jakiej pan nie ma pojęcia, jakiej nie doświadczył pan nigdy - dodała.

Markiz nie odpowiedział i kiedy Imeldra spojrzała na niego pomyślała, że cynizm na jego twarzy jest teraz w pełnym słońcu bardzo widoczny. Domyślała się, choć nie miała pewności, że jego oczy mają równie twardy wyraz jak wówczas, kiedy się spotkali po raz pierwszy.

Rozdział 4

Przy obiedzie Imeldra rozglądała się dokoła. Takiej budowli jak ta świątynia nigdy dotąd nie widziała. W środku okrągła, przypominała nieco świątynie greckie, a częściowo muzułmańskie. Światło sączące się przez rzeźbione okna rysowało esy - floresy na marmurowej posadzce. Pośrodku wznosiło się podium, również okrągłe. Ustawiono na nim posąg bożka Pana tańczącego i grającego na flecie.

Usiedli na obmurowaniu podium, stawiając przed sobą koszyk z prowiantem. Przez otwarte drzwi roztaczał się piękny widok na całą dolinę. Wszystko było tu tak niezwykle i romantyczne, że Imeldra czuła, jakby się nagle znalazła w zupełnie innym świecie. Zdawało jej się nawet, że słyszy dokoła muzykę, lecz był to zapewne wiatr owiewiający wysoką kopułę sterczącą ku niebu i widoczną z daleka. W sercu Imeldry również rozbrzmiewała muzyka, wyrażająca radość z powodu bliskości markiza.

Ponieważ budowlę, w której się znaleźli, spowijała mistyczna mgiełka i ponieważ była ona poświęcona miłości, głos markiza nabierał w niej znaczących i głębokich brzmień. Słuchając go Imeldra odwracała oczy, aby ich wyraz nie zdradził jej uczuć. Najpierw zaczęli rozmawiać o rzeczach zupełnie zwyczajnych, lecz wkrótce w ich konwersację zaczęły się wplatać minuty znaczącej ciszy, kiedy ich serca przemawiały do siebie bez słów.

- Czasem odnoszę wrażenie - powiedział markiz opierając się o kamienne obmurowanie - jakby nie należała pani do teraźniejszości, lecz do przeszłości.

A jednocześnie jestem zapatrzona w przyszłość - dodała Imeldra.

- To zupełnie zrozumiałe, lecz jeśli o mnie chodzi, nie mam przyszłości.

Powiedział to jakby do siebie, a Imeldra wydała cichy okrzyk.

- Co chce pan przez to powiedzieć? Jak w ogóle może pan mówić takie rzeczy?

- Nie powinienem był tego mówić. Pani i tak tego nie zrozumie.

- Ale ja chcę zrozumieć. Pan wie, że chcę nie tylko zrozumieć, ale też pomóc.

- Pomogła mi pani przez sam fakt pojawienia się w moim domu. Teraz już wiem, że pani istnieje, marzyłem o pani, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Sposób, w jaki to mówił, sprawił, że odwróciła się od niego i zaczęła spoglądać przez otwarte drzwi na rozciągającą się poniżej dolinę. Jej profil rysował się wyraźnie na tle marmurowych ścian, a ponieważ podczas spożywania posiłku zdjęła kapelusz, słońce igrało w jej włosach wydobywając z nich płomieniste iskierki.

- Wprost nie do wiary, że pani jest taka piękna - powiedział markiz. - Jak się to dzieje, że w obecnych czasach pojawia się ktoś taki jak pani?

- Odpowiedź jest bardzo prosta - rzekła Imeldra. - Jestem córką ludzi, którzy kochali się miłością wielką i idealną, podobną do tej, jaką zapewne żywił pański pradziadek wobec kobiety, której pamięci poświęcił ten monument.

- Więc pani sądzi, że miłość jest piękna? - zagadnął markiz.

- Oczywiście - odrzekła Imeldra. - Jakże mogłoby być inaczej? Świat powstał dzięki miłości. To tylko mężczyźni potrafią skalać to uczucie.

Pomyślała w tym momencie o swoim ojcu uciekającym z kraju wraz z lady Bullington, której nie kochał prawdziwą miłością, tak jak zmarłą żonę. Imeldra uważała, że to właśnie jest „złe” - miłość wyłącznie cielesna, nie mająca odniesień do

duszy i umysłu. Zatopiona w swoich myślach, zupełnie zapomniała, że markiz jej się przygląda.

- O czym pani tak rozmyśla? - zapytał po chwili. - Kto panią skrzywdził? Kto się ośmielił uczynić panią nieszczęśliwą? - Nie odpowiedziała, a on dodał: - Jeśli to mężczyzna, to byłbym gotów go zabić!

Gwałtowność, z jaką wymówił ostatnie zdanie, zaskoczyła ją. Odwróciła się ku niemu zdumiona. Przez chwilę patrzyli na siebie, potem markiz wstał i zszedł po stopniach z podwyższenia w kierunku otwartych drzwi. Imeldra przestraszyła się, że znów zamierza ją opuścić, jak to uczynił poprzedniego wieczora, i pośpieszyła za nim. Gdy znalazła się przy nim, szepnęła:

- Pan torturuje samego siebie. Czemu nie chce mi pan powiedzieć, co pana gnębi?

Odwrócił się do niej i znów dostrzegła, że jego oczy pociemniały z bólu. Ponieważ nie mogła znieść widoku jego cierpień, wyciągnęła ręce ku niemu i niemal błagała:

- Proszę mi powiedzieć... bardzo proszę... chciałabym panu dopomóc.

- Dlaczego?

Imeldra zaczęła szukać odpowiedzi i znalazła ją. Mogła się jej spodziewać, a jednocześnie ukrywała przed sobą prawdę, ponieważ wydała się jej brzemieniem nie do udźwignięcia, ciężarem, który ją przygniatał. Teraz uświadomiła sobie prawdę, choć usta nie ośmieliły się jej wypowiedzieć. Lecz markiz znów czytał w jej myślach. Odezwał się bardzo cicho i spokojnie:

- Pani mnie kocha!

Imeldra wstrzymała oddech, a markiz otoczył ją ramionami i przywarł ustami do jej ust. Gdy ich usta złączyły się, Imeldra poczuła, że to właśnie jest miłość prawdziwa, uczucie, jakie się w niej zrodziło, gdy po raz pierwszy ujrzała

markiza. A może już od zarania wieków byli sobie przeznaczeni?! Była to miłość, o jakiej marzyła, obawiając się, że nigdy jej nie spotka.

Teraz kiedy markiz trzymał ją w uścisku, przeżywała ekstazę, o jakiej roiła w dziewczęcych snach, jej uniesienie nie miało wprost granic. Było to coś bardzo pięknego, świętego, doskonałego i idealnego.

Markiz przytulał ją coraz mocniej i mocniej, jego wargi stawały się coraz bardziej namiętne i zaborcze, a jednocześnie wyczuwała w nim delikatność i czułość, jakiej się po nim nie spodziewała. Była dla niego cennym skarbem, którego nie chciał urazić.

Wśród jego pocałunków zniknęła świątynia, w której się znajdowali, zniknął cały świat. Byli tylko oni i niebiańska muzyka, która ich łączyła i przenosiła coraz wyżej i wyżej aż na szczyty boskości. Gdy ekstaza pocałunku wydała jej się już nie do zniesienia, westchnęła i ukryła twarz na szyi markiza. Nie ruszał się, lecz jego ramiona były dla niej ostoją, dawały jej poczucie całkowitego bezpieczeństwa.

Po chwili markiz odezwał się głosem szorstkim i zmienionym:

- Kocham cię! Na całym świecie nikt się dla mnie nie liczy, tylko ty!

Imeldra wstrzymała oddech.

- Ja czuję to samo. Znam cię od wielu, wielu lat... To dlatego myślimy i czujemy podobnie.

Markiz nic nie odpowiedział, tylko uniósł jej twarz ku sobie. Teraz jego pocałunki były zupełnie inne. Pojęła, że całuje ją jak szaleniec, ponieważ wie, że musi ją opuścić. Nie mogła zebrać myśli, gdyż namiętność markiza obudziła w niej ogień, który rozpałił całe jej ciało. Nie potrafiła się temu oprzeć, a jednocześnie wiedziała, że miłość usprawiedliwia i oczyszcza wszystko. Ich uczucie było na poły ludzkie i na

wpół boskie. Gdy już obojgu zabrakło tchu, markiz odezwał się chrapliwym głosem:

- Jak mogę cię porzucić? Jak mogę pozwolić ci odejść? Jesteś moja, Imeldro, moja.

Ponieważ była również o tym święcie przekonana, słysząc rozpacz w jego głosie, zapytała przejęta lękiem:

- Czemu musisz... mnie porzucić?

Spojrzał w taki sposób, jakby chciał, żeby jej obraz wyrył mu się w pamięci na zawsze.

- Ponieważ nie mogę cię poślubić - rzekł.

Zdrętwiała, przyszło jej na myśl, że ze względu na swoją wysoką pozycję i rangę nie może się zniżyć i żenić z osobą należącą do niższej sfery, za jaką uważał zapewne wnuczkę człowieka, którego zaangażował do pracy.

Nie musiała jednak swoich obaw wyrażać słowami, gdyż markiz wyczytał je z jej oczu i powiedział ze złością:

- Jak możesz nawet myśleć o takich rzeczach! Czy wyobrażasz sobie, że jest to przyczyna, dla której nie mogę cię poślubić? Nawet gdybyś pochodziła z nizin społecznych, gdybyś była córką zmiatacza ulic, ukląkłbym przed tobą i prosił, żebyś mi wyświadczyła ten zaszczyt i zechciała zostać moją żoną. Ale ja tego zrobić nie mogę.

- Czemu nie możesz?

- Nie mogę ci tego wyjaśnić - rzekł. - Istnieje ważny powód, dla którego musimy się rozstać.

Imeldra czuła, jakby lodowata dłoń zacisnęła się na jej sercu.

- A co będzie, jeśli nie odejdę? - wyszeptała. - Jeśli zgodzę się zostać z tobą nawet... bez ślubu?

Mówiła to głosem drżącym i słabym. Dostrzegła gorzki uśmiech na twarzy markiza.

- Czy sądzisz, że już o tym nie myślałem? - odpowiedział.

- Czy wiesz, że całą noc przeleżałem przeżywając straszliwe

męki? - Przycisnął ją do siebie tak mocno, że z trudem mogła oddychać, i mówił dalej: - Och, moja boska, oczywiście że zastanawiałem się, co zrobić, byśmy mogli być razem, lecz tak nisko jeszcze nie upadłem, żeby zniszczyć i zdeprawować istotę doskonałą i niewypowiedzianie piękną.

Ponieważ jego słowa bardzo ją wzruszyły, Imeldra poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nie starała się ich przed nim ukrywać, patrzyła na jego twarz, tak bardzo udręczoną przeżyciami.

- Kocham cię - powiedział. - Nie przypuszczałem nawet, że można tak kochać. Jesteś dla mnie wszystkim na świecie. Jesteś światłem płonącym w ciemności.

- Ale ja jestem żywą istotą - odrzekła. - Być może uda mi się wydobyć cię z tych ciemności i będziemy razem szczęśliwi.

Potrząsnął głową, a jej się wydało, że ugasił płonący w niej ogień i zostały już same popioły.

- Musisz odejść, kochanie - powiedział. - Musisz zapomnieć o mnie. Pewnego dnia spotkasz mężczyznę, który cię pokocha, jak ja cię pokochałem, choć już sama myśl o tym boli mnie niezmiernie, i wyjdiesz za niego za mąż.

- To niemożliwe - odrzekła Imeldra. - Kocham cię, należę do ciebie i nie pozwolę, żeby mnie dotknął inny mężczyzna.

- Teraz tak ci się wydaje - powiedział markiz - lecz jesteś bardzo młoda, a młodość pomaga zapomnieć.

- Czy ty potrafisz zapomnieć?

- Ja to co innego. Jestem od ciebie starszy, i to nie tylko latami, ale gorzkimi doświadczeniami, nienawiścią i rozpaczą.

- Jak możesz tak mówić? - wykrzyknęła Imeldra. - Jak możesz odrzucać coś tak pięknego i wspaniałego jak nasza miłość? - Ponieważ milczał, mówiła dalej: - To tak jakbyś zniszczył ten cudowny pomnik, który zbudował twój pradziadek na pamiątkę swojej miłości. To tak jakbyś spalił

pałac ze wszystkimi jego skarbami i pamiątkami. Bóg rozdziela pomiędzy nas swoje dary i nie naszą jest rzeczą odmawiać ich przyjęcia.

- Takie jest twoje zdanie, moja boska - powiedział markiz z czułością w głosie. - Jesteś moją boginią, chciałbym przed tobą uklęknąć i modlić się o twoją pomyślność, lecz wiem jednocześnie, że musisz mnie opuścić.

- Dlaczego? Powiedz mi dlaczego? - zawołała Imeldra. - Co ty złego zrobiłeś? Jaka zbrodnia ciąży na tobie, że miłość nie może jej odkupić?

Nie znajdując odpowiedzi na jej gwałtowne pytania, markiz przytulił ją do siebie i znów zaczął całować. Tym razem nie było już ognia i namiętności w jego pocałunkach. Rozpacz sprawiła, że były zimne, nawet bliskość Imeldry nie była w stanie go pobudzić. Puścił ją i powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- Zapakuj koszyk z prowiantem, a ja tymczasem przygotuję konie.

I wyszedł pozostawiając ją samą. Patrzyła za nim, chciała płakać, krzyczeć, błagać go na kolanach, aby jej wytłumaczył, co to wszystko znaczy, lecz wiedziała, że wszystko na próżno. Ponieważ była w nim do szaleństwa zakochana, wiedziała, że ostatnie przeżycia są ponad jego siły. Widząc, jak idzie do koni, pomyślała, że ma do czynienia nie z silnym mężczyzną, lecz z małym chłopcem. Zdawało jej się, że jest jej synem, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie znajdując żadnego innego sposobu, żeby mu pomóc, zaczęła się modlić.

„Panie, uratuj go. Pomóż mu. Uwolnij go od tego, co go gnębi i czyni nieszczęśliwym. Pozwól, żebyśmy byli razem. Nie rozdzielaj nas w sposób tak okrutny. Błagam cię, Panie, ulituj się nad nami.”

Niczym automat wykonała polecenie markiza, poukładała talerze i szklanki z powrotem w koszyku i zamknęła wieko.

Przez cały czas modliła się w przekonaniu, że choć ona sama nie potrafi rozwikłać tajemnicy markiza, jest ona znana Bogu i tylko On może przyjść im z pomocą.

* * *

Wracając do domu prosiła w modlitwie matkę o wstawiennictwo. Jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowała jej pomocy i rady. Matka byłaby zdolna zrozumieć jej miłość do człowieka, który z niewiadomych powodów powiedział, że muszą się rozstać. Matka potrafiłaby wczuć się w jej sytuację. Pojąć, co to znaczy, że drugi człowiek staje się całym światem, że rozłąka z nim oznacza utratę wszystkiego, co się w życiu liczy, i pogrążenie w czarnej rozpacz.

- Pomóż mi, mamo, żeby on mnie pokochał... i żeby żadne przeszkody nie miały dla niego znaczenia - błagała. - Niech mnie choć pokocha na tyle, żeby mi zaufać, że potrafię mu dopomóc i wskazać, co ma czynić, jak tobie udawało się kierować ojcem.

Modliła się tak gorąco, że nie spostrzegła, kiedy markiz, który wydawał się pochłonięty powożeniem, zwrócił się nagle do niej.

- Zdejmij rękawiczkę i podaj mi rękę - powiedział. - Chciałbym ją uścisnąć.

Powiedział to takim tonem, że odniosła wrażenie, jakby ciemne chmury, które się nagromadziły ponad ich głowami, nagle się rozproszyły. Posłusznie zaczęła rozpinać guziki przy długich rękawiczkach. Gdy próbowała oswobodzić prawą rękę, markiz okazał się szybszy, zerwał z jej dłoni rękawiczkę, schował ją do kieszeni i ujął jej dłoń.

- Teraz gdy mogę cię znów dotknąć, czuję, jakbyśmy byli jednym ciałem - powiedział cicho.

- Jestem z tobą tak złączona jak wówczas, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy - odrzekła Imeldra.

- Ja także - powiedział z lekkim uśmiechem - czułem wtedy płynące ku mnie od ciebie fluidy. A kiedy odwróciłaś się od obrazów i spojrzałaś na mnie, zdawało mi się, jakby biegły ku mnie od ciebie promienie tajemniczego światła. Odniosłem wrażenie, jakby te fluidy były czymś materialnym.

- Och, kochanie, jak my będziemy żyć z dala od siebie? - spytała.

Palce markiza ścisnęły jej dłoń aż do bólu.

- Proszę, powtórz to jeszcze raz! - błagał. - Chcę zapamiętać twój głos. Będę go zawsze wspominał, gdy inne kobiety coś mówić będą do mnie.

- Mój ukochany... Kocham cię! - wyszeptała.

Markiz wciąż trzymając wodze, ze wzrokiem utkwionym w rozciągającą się przed nimi drogę, uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Gdy jego wargi dotknęły jej skóry, poczuła, jakby spajał ich ze sobą niewidzialny prąd. Przysunęła się do niego i oparła policzek o jego ramię.

Ponieważ obawiała się, że gdy dojadą do Marizon, mógłby zniknąć bez słowa pożegnania, zapytała:

- Czy moglibyśmy dzisiaj zjeść razem kolację?

- Powinienem powiedzieć „nie”.

- Proszę, powiedz „tak”. Tak wiele rzeczy mamy sobie do powiedzenia.

Mówiąc to wciąż nie mogła się pozbyć wrażenia, że czas pędzi naprzód nieubłaganie, że w każdej chwili markiz może zniknąć i już go więcej nigdy nie zobaczy. Mógł przecież nie powiadamiając jej o tym opuścić nagle Marizon. Mógł oddalić się z domu zostawiając ją samą z rzekomym dziadkiem. Gdyby tak postąpił, nie pozostawałoby jej nic innego niż wyjazd do babki, nie zniosłaby bowiem pobytu w tym domu bez niego.

„Powinnam cieszyć się każdą chwilą, jaką dane mi| jest z nim spędzić - pomyślała - żebym potem przez całe' lata miała co wspominać.”

Nagle olśniła ją myśl, że jej ojciec, gdyby się znalazł w podobnej sytuacji, nigdy by się nie poddał, lecz stanąłby do walki o swoje szczęście. Ojciec zawsze zdobywał to, na czym mu zależało. Ugiął się tylko przed potęgą śmierci, która zabrała mu największy skarb na świecie, ukochaną żonę. Ojciec zwykł walczyć z wszelkimi przeciwnościami tak długo i wytrwale, aż stawał się zwycięzcą. Imeldra postanowiła, że musi brać z niego przykład. Zrodziła się w niej duma i odwaga. Postanowiła, że będzie walczyć o markiza.

Przyrzekła sobie solennie, że nie zważając na trudności i przeszkody zbada, co go gnębi, i jeśli to możliwe, usunie z jego życia wszelkie zło. Zostanie z nim nie zważając na konsekwencje, czy się to innym będzie podobało, czy też nie. On należy do niej, a ona do niego. Ich miłość jest silniejsza od barier klasowych, nie ulęknie się ani grzechu, ani nawet zbrodni.

„Nie dam za wygraną, nie poddam się” - przysięgła sobie w duchu, lecz instynkt podpowiadał jej, że nie powinna przyznawać się do tego.

Natomiast głośno rzekła:

- Zjedzmy razem kolację i udawajmy, że wszystko jest w porządku! Że jesteśmy dwojgiem zakochanych, którzy przekonali się, że znaleźli miłość, o jakiej nawet nie mieli pojęcia. - Markiz milczał, a ponieważ zauważyła, że się waha, dodała szybko: - Proszę, zgódź się na to. Niech to będzie podarkiem, jaki mi ofiarowałeś i jaki ja dałam tobie.

- Gdyby to tylko było możliwe, dałbym ci wszystko, moja ukochana - powiedział czule. - Obsypałbym cię diamentami, przyoblekłbym cię w sobole, dałbym ci wszystko, cokolwiek byś zapragnęła.

- Ale ja chcę w zamian coś bardziej jeszcze cenniejszego. Pragnę kilku godzin spędzonych z tobą - rzekła Imeldra. - Godzin jasnych niczym gwiazdy na niebie i pocałunków wznoszących nas ku gwiazdom.

Mówiła to głosem pełnym czułości i markiz rozluźnił nieco uścisk jej ręki, kiedy wprowadzał konie w bardzo niebezpieczny zakręt.

- Otrzymasz swój prezent, moja piękna - powiedział po chwili. - Obiecuję ci, że dzisiejszego wieczora nie będziemy myśleli o jutrze.

- Dzięki ci za to - odezwała się Imeldra i znów przytuliła policzek do jego ramienia.

Niestety zbliżali się już do Marizon. Po raz pierwszy jego urok i majestat nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Pomyślała, że w tym pałacu markiz ukrywa swój sekret, którego za żadną cenę nie chce jej wyjawić. Czowała, że nazajutrz będzie musiała go opuścić, ponieważ jest tutaj intruzem. Gdy znaleźli się u podnóża schodów, postanowiła, że będzie walczyć, że nie zrezygnuje z własnego szczęścia.

Lokaj pomógł jej wysiąść z powozu, a chłopiec stajenny stanął przy koniach. Markiz poprowadził ją po schodach na górę, przeszli przez hol i jakby odgadując wzajemnie swoje myśli, skierowali się do gabinetu, w którym, jak Imeldra sądziła, markiz spędzał zazwyczaj wiele czasu. Był to ładny pokój, na ścianach wisiały obrazy przedstawiające konie i psy. Urządzony był po męsku i stanowił doskonałe tło dla osobowości markiza.

Gdy lokaj zamknął za nimi drzwi, stanęli na środku pokoju, i spojrzeli na siebie.

- Wiele spraw czeka na mnie - powiedział markiz - lecz najpierw, ponieważ jest to część mojego prezentu dla ciebie, kochanie, muszę cię pocałować.

- Właśnie na to czekam - wyszeptała Imeldra.

Uniosła ku niemu twarz, a on rozwiązał wstążki jej kapelusza i rzucił go na sofę. Potem dotknął jej włosów, czując palcami ich miękkość, wreszcie powoli zbliżył usta do jej ust. Jego pocałunek był tak oszołamiający, że Imeldrze zdawało się, jakby znów znalazła się w niebie, a dokoła niej rozbrzmiewała niebiańska muzyka. Pokój zawirował przed nimi, a oni ulecieli do gwiazd. Nagle rozległ się odgłos otwieranych drzwi i ledwo zdążyli odsunąć się od siebie, wszedł kamerdyner i zameldował:

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale ktoś czeka na pana w pilnej sprawie.

- Spodziewam się, że to któryś z farmerów - odezwał się markiz do Imeldry.

Jego oczy przez moment spoczęły na jej ustach, a jej się zdawało, jakby znów ją całował. Potem, starając się zachować oficjalnie w obecności służącego, podszedł do drzwi i wkrótce usłyszała jego kroki w korytarzu. Markiz zapytał kamerdynera, gdzie wprowadził gościa, a dowiedziawszy się, że w pomieszczeniu znajdującym się naprzeciw gabinetu, skierował się w tamtą stronę.

Kiedy tak stała wsłuchana w odgłos jego kroków, przypomniała sobie nagle, że włożył do swej kieszeni jej rękawiczkę. Żeby więc nie poczuł się zażenowany wobec służącego, który będzie pomagał mu przy rozbieraniu, nie zastanawiając się długo, myśląc wyłącznie o tym, żeby zaoszczędzić mu niezręcznej sytuacji, Imeldra pobiegła za nim. Niestety właśnie kamerdyner zamykał drzwi. Widząc, że się spóźniła, Imeldra zatrzymała się i powiedziała do kamerdynera:

- Chciałabym wziąć sobie książkę z biblioteki.

Biblioteka znajdowała się obok pokoju, w którym zniknął markiz, więc kamerdyner otworzył jej drzwi. Podziękowała mu i weszła do środka niosąc w ręku kapelusz z zamiarem

wzięcia tylko jakiejś książki do siebie na górę. Gdy postąpiła kilka kroków, usłyszała podniesiony i poirytowany głos markiza i uświadomiła sobie, że pokoje te są ze sobą połączone, jak większość pomieszczeń budowanych w tym okresie.

Jej matka śmiała się często i mówiła, że w Kingsclere, gdzie pokoje również były usytuowane w amfiladzie, czuje się, jakby mieszkała w korytarzu.

Nagle Imeldrze przyszło do głowy, że być może gość, którego nazwiska kamerdyner nie wymienił, ma jakiś związek z tajemnicą markiza. Jakiś szósty zmysł podpowiedział jej, że to jest bardzo prawdopodobne. Czowała, że się nie myli.

Nie krepując się wcale tym, że podsłuchuje, podeszła do drzwi łączących bibliotekę z sąsiednim pokojem, gdzie toczyła się rozmowa. Drzwi nie były dokładnie zamknięte, mogła więc bez trudu usłyszeć każde słowo, tym bardziej że markiz mówił podniesionym głosem.

- Jak mogłaś przyjechać aż tutaj, Jolie?! - zawołał. - Jeśli chciałaś porozumieć się ze mną, to mogłaś napisać lub zwrócić się do moich adwokatów.

- I jaką dałby mi pan odpowiedź? - zapytała kobieta. - Nietrudno się domyślić, że odmowną. A ponadto wolałam nie pisać o pewnych sprawach, które pan także wolałby pozostawić w ukryciu.

Słuchając słów kobiety Imeldra uświadomiła sobie, że choć mówi ona po angielsku w zasadzie poprawnie, ma jednak lekki obcy akcent.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia - odrzekł markiz ostrym tonem. - Kiedy mnie zaszantażowałaś i dałem ci dwadzieścia pięć tysięcy funtów, obiecałaś mi, że jeśli dotrzymam umowy, będziesz się trzymać ode mnie z daleka. Nie mam nic więcej do dodania.

- Jak panu wiadomo, pieniądze mają to do siebie, że znikają w zastraszającym tempie. Dziś są, a jutro ich nie ma!

- Gdyby nie hazard, nie byłabyś w stanie wydać ich w ciągu pięciu lat - powiedział markiz surowo. - Niech ktoś inny płaci za ciebie w kasynach gry, bo ja nie zamierzam dać ci ani grosza więcej.

- W takim razie będzie pan musiał uznać oficjalnie swego brata i przyjąć go w Anglii, jak na to zasłużył - powiedziała kobieta. - W przeciwnym razie zwrócę się do sądu.

Zapanowała cisza, którą przerwał ostry głos markiza.

- Uzgodniliśmy to już wcześniej. Dałem ci pieniądze i słowo honoru, że nie ożenię się, a ty zobowiązałaś się, że ze swej strony nie będziesz wysuwała żadnych roszczeń odnośnie do mojego tytułu.

Imeldra wstrzymała oddech. Czowała, że Francuzka wzruszyła ramionami, zanim odezwała się:

- Nie ma pan nawet pojęcia, jakie to straszne dla kobiety niegdyś pięknej i sławnej, gdy musi się pogodzić ze starością. Nie tak jeszcze dawno ludzie ustawiali się w kolejkach przed teatrem, żeby tylko usłyszeć mój śpiew. Dostawałam nie tylko kwiaty, ale też cenne podarki od królów, cesarzy, książąt i oczywiście markizów. - Głośno westchnęła, a potem mówiła dalej: - Ale gdy młodość i uroda minęły bezpowrotnie, Jolie musi zadowolić się występami w kawiarniach i podrzędnych kabaretach. Jestem teraz biedna, a pan bogaty. Proszę pomyśleć, jak wygodnie by mi się tutaj żyło wraz z moim synem.

- Ale tak się nie stanie - powiedział ostro markiz.

- Gdybym pokazała moje papiery, które pilnie przechowuję w paryskim banku, angielskiemu wymiarowi sprawiedliwości, wówczas by się okazało, że to właśnie Andre powinien się znaleźć na pańskim miejscu i że to jemu przysługuje tytuł markiza.

Imeldra stała jak skamieniała. Z trudem docierało do jej świadomości znaczenie wypowiedzianych słów, jednak słuchała z napiętą uwagą.

- To, czego chcę od ciebie, drogi markizie - mówiła Francuzka z szyderstwem wymawiając ostatnie słowa - ogranicza się do pieniędzy. Pragnę otrzymać sumę wystarczającą na dostatnie życie. Nie chcę już więcej zarabiać śpiewem. Chcę być niezależna. Pieniądze są także potrzebne Andre, który wciąż musi się liczyć z każdym wydatkiem, a przecież mógłby żyć jak angielski lord.

- Zaufałem ci, kiedy mnie zapewniałaś, że znikniesz nu zawsze z mojego życia - powiedział markiz - ale zawiodłem się. Jeśli jeszcze raz dam ci pieniądze, co z nimi zrobisz? Przetrwonisz je przy karcianych stolikach?

- Czemu mi pan odmawia odrobiny zabawy, podczas gdy sam korzysta z wielu przyjemności? - zapytała kobieta, a po chwili dodała: - Jeśli mi pan nie da tych pieniędzy, każę najlepszemu adwokatowi w Paryżu, żeby zabrał moje papiery oraz petycję i przedłożył je w Izbie Lordów. Niech pan pomyśli o skandalu, jaki to wywoła, a kiedy już wygram proces, zachowam się wobec pana jak przystało na damę albo i nie.

- A niech cię wszyscy diabli! - zawołał markiz. Głos jego zabrzmiał głucho, jakby markiz nie był w stanie przeciwstawić się kobiecie, która drwiła sobie z niego w żywe oczy. Potem rozległ się odgłos kroków przemierzających pokój.

- Pójdę po książeczkę czekową - powiedział markiz. - Czekaj tu na mnie i niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby się wdawać w pogawędki z kimkolwiek w moim domu. Jeśli to zrobisz, przysięgam, że pozwolę ci wnieść pozew i poniosę wszystkie konsekwencje tego kroku.

I nie czekając na odpowiedź Francuzki, wyszedł z pokoju zatrząskując za sobą z hałasem drzwi. Imeldra domyśliła się,

że poszedł do gabinetu, gdzie w biurku trzymał zapewne swe papiery. Słyszała, jak kobieta, w sąsiednim pokoju zaśmiała się nieprzyjemnie, jak ktoś, kto osiągnął swój cel, a potem zaczęła nucić popularną francuską piosenkę.

W tym momencie Imeldra doszła do wniosku, że powinna przemyśleć wszystko, co usłyszała, i zdecydować się, jak ma postąpić, zanim markiz dowie się, że poznała jego tajemnicę. Czekwała w bibliotece, aż wreszcie usłyszała jego kroki. Miała wrażenie, że jest to chód starego człowieka, zupełnie jakby markiz nagle się postarzał o wiele lat. Słyszała, jak podszedł do stolika stojącego pod oknem, a potem odezwał się głosem zimnym i twardym:

- Daję ci dziesięć tysięcy funtów i ani grosza więcej!

- Piętnaście! - upierała się Francuzka.

- Dziesięć! Już i tak nadszarpnąłem fundusz przeznaczony dla ludzi pracujących w majątku, których sytuacja jest dużo gorsza od twojej.

- Może pan przecież sprzedać obrazy - rzekła Madame Jolie. - Czytałam o pańskiej kolekcji w paryskich gazetach.

- Obrazy należą do mojego syna, którego się nie doczekam - odpowiedział markiz z goryczą. Francuzka zaśmiała się.

- O, la la! Tyle kobiet jest chętnych, żeby pana zabawić, a małżeństwo nie zawsze układa się po różach, czego sama doświadczyłam na własnej skórze.

- Dziesięć tysięcy funtów powinno ci wystarczyć na długi czas.

- To będzie zależało od wielu spraw - odrzekła Madame Jolie.

Imeldra uświadomiła sobie, że kobieta znów szantażuje markiza, a ponieważ nie była w stanie słuchać dłużej tej rozmowy, przebiegła cicho przez bibliotekę ku drzwiom wiodącym na korytarz. Otworzyła ją i jakby ją goniła sfera

diabłów, popędziła w stronę swojej sypialni mieszczącej się we wschodnim skrzydle.

Dopiero kiedy rzuciła się na łóżko, żeby wszystko sobie przemyśleć, uświadomiła sobie przerażającą treść podsłuchanej rozmowy. Przez chwilę zdawało jej się, że cała ta sprawa jest wprost nieprawdopodobna, potem, gdy wszystkie elementy zagadki ułożyły się w logiczną całość, pojęła, że markiz nie jest w ogóle markizem. Przecież ma starszego brata, syna francuskiej śpiewaczki, więc to Andre powinien odziedziczyć Marizon.

Wprost wierzyć jej się nie chciało, że stary markiz, człowiek o nieposzlakowanej opinii, stojący na straży moralności, potępiający postępowanie jej ojca, tak że po śmierci matki wręcz zerwał z nim wszelkie stosunki, miał syna z francuską śpiewaczką, którego na dodatek nie uznał.

Wynikało z tego niezbicie, że matka obecnego markiza nie była prawowitą żoną jego ojca, i jeśli roszczenia Francuzki są słuszne, to ona była legalną małżonką starego markiza.

Było to tak zagniatwane, że Imeldrze zajęło sporo czasu, zanim wszystko pojęła i uświadomiła sobie następstwa takiej sytuacji. Zrozumiała teraz z niezwykłą jasnością, czemu markiz pozwalał się szantażować i czemu zgodził się na warunek postawiony przez Madame Jolie i obiecał, że się nigdy nie ożeni.

Dawało to Madame Jolie nad nim przewagę, bo gdyby nawet zdecydował się na publiczne ujawnienie jej pretensji, jako legalnej żony jego ojca, miałby silniejszą pozycję mając własną rodzinę.

Nawet gdyby markiz był pewien wygranej, Madame Jolie mogła udać się ze skargą do Izby Lordów, a do tego nie mógł w żadnym wypadku dopuścić i spełniłby każde jej żądanie, aby tylko reputacja jego rodziców nie doznała uszczerbku.

Teraz dopiero zrozumiała cyniczne zachowanie markiza, pojęła jego gorycz i uświadomiła sobie, czemu nie czerpała radości ze swego tytułu i bogactwa.

„Och, kochany, kochany! - wołała ku niemu. - Muszę koniecznie ci pomóc! Muszę cię jakoś ratować!”

Lecz jak to zrobić, nie miała na razie pojęcia.

Na odgłos pukania do drzwi zerwała się z łóżka i zanim odpowiedziała „proszę!”, podeszła do okna. W drzwiach ukazała się Emma.

Jest list do panienki. Przywieziono go powozem, który zatrzymał się przy bocznych drzwiach.

- Powozem? - wykrzyknęła Imeldra. Domyśliła się, że jedyną osobą, która mogła wysłać do niej wiadomość, był pan Dutton, i zastanawiała się, co go do tego skłoniło. A może ktoś podał babce jej miejsce pobytu. Ta ostatnia możliwość wydała jej się jednak mało prawdopodobna, szybko więc otworzyła kopertę. List był napisany na papierze z Kingsclere. Zaczęła więc czytać pośpiesznie:

Droga Lady Imeldro!

Z wielką przykrością zawiadamiam, że ojciec Pani uległ wypadkowi, w którym doznał poważnych obrażeń. Dziś zostanie przewieziony do domu. Sądzę, że będzie Pani chciała być obecna przy jego powrocie. Wysyłam po Panią powóz i oczekuję Pani przyjazdu za mniej więcej godzinę. O tej właśnie porze spodziewamy się jego lordowskiej mości.

Z wyrazami szacunku
szczerze oddany sługa

Ryszard Dutton

Przeczytawszy list do końca Imeldra zawołała:

- Pospiesz się, Emmo! Pakuj szybko moje rzeczy! Nieważne, jak to zrobisz! Muszę natychmiast wyjechać!

Wyczuwając z tonu głosu Imeldry, że sprawa jest poważna, Emma przywołała do pomocy dwie służące i

wkrótce kufry zostały zapakowane. Nie zdążyła jeszcze przebrać się w strój podróżny, kiedy wszystko było gotowe i lokaje znosili na dół bagaże. Spieszyła się tak bardzo, że dopiero kiedy była zupełnie gotowa do odjazdu, uświadomiła sobie, że należy przecież powiadomić Williama Gładwina, a także markiza.

Na samą myśl o tym ostatnim serce zabiło jej mocno lecz zdawała sobie sprawę, że w tej sytuacji najważniejszy jest ojciec. Lokaje ładowali właśnie jej bagaż do powozu stojącego przed bocznym wejściem do pałacu.

- Posłuchaj, Emmo - powiedziała do służącej - po - wiedz mojemu dziadkowi panu Gładwinowi, gdy tylko odjadę, że musiałam wrócić do domu, ponieważ mój ojciec uległ wypadkowi. Czy zrozumiałaś?

- Tak, milady.

Imeldra zastanawiała się, jak przekazać wiadomość markizowi i czy w ogóle to zrobić. Postanowiła jednak wyjechać bez pożegnania. Jeśli markiz zapyta o nią pana Gładwina, ten mu wyjaśni, dlaczego musiała odjechać. Sądziła, że po tym, co sobie dziś powiedzieli, markiz nie będzie zdziwiony jej zniknięciem.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziała do Emmy. Dała dziewczynie gwineę i dostrzegła wdzięczność w jej oczach. Potem pobiegła za lokajami w stronę bocznej klatki schodowej. Gdy powóz przysłany z Kingsclere mijał podjazd, ze łzami w oczach spojrzała jeszcze raz na pałac Marizon.

- Żegnaj, moja miłości! - wyszeptała. Choć wiedziała, że musi odjechać, bo ojciec jej potrzebuje, jednak jej serce zostawało tutaj.

Rozdział 5

Przez całą drogę powrotną do Kingsclere Imeldra w myślach wciąż popędzała konie i gdy tylko zwalniały na zakrętach, martwiła się, że może przybyć zbyt późno. Nic miała pojęcia, jakiemu wypadkowi uległ ani jak się to stało, lecz sama wiadomość, że jest ranny, wprawiła ją w przerażenie, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie doświadczyła.

Już i tak ciężko przeżyła rozstanie z nim, kiedy wyjeżdżał za granicę, lecz gdyby umarł, gdyby miała go utracić na zawsze, pozostałaby na tym świecie zupełnie sama. Zdawało jej się, że spotyka ją jedna tragedia za drugą i nie była w stanie zebrać myśli. Czuła się kompletnie zdruzgotana i wszystko dokoła widziała w czarnych kolorach.

„Szybciej! Szybciej! - chciała krzyknąć do Bakera, powożącego z niezwykłą precyzją, ale też rozwagą.

Jazda na wąskich i krętych drogach, gdzie dwa pojazdy mijały się z trudem, była zawsze bardzo niebezpieczna. Imeldra usiłowała rozwiązać zagadkę, co mogło się przydarzyć jej ojcu. Przecież jadąc wraz z lady Bullington do Dover, aby przekroczyć kanał La Manche, korzystał z głównej szerokiej drogi, o wiele bezpieczniejszej od tej, którą ona teraz podróżowała.

Nie miała pojęcia, co się stało, i czując własną bezsilność, zaczęła się modlić, żeby stan zdrowia ojca nie był tak ciężki, jak to wynikało z listu pana Duttona. Niezależnie jednak od tego, jakie odniósł obrażenia, wiedziała, że musi go pielęgnować i nie odstępować ani na krok.

Nie minęła nawet godzina, a już konie brały zakręt ku bramie Kingsclere, lecz Imeldrze wydawało się, jakby wieki całe upłynęły od chwili, kiedy przeczytała wiadomość przysланą przez pana Duttona. Starła się myśleć wyłącznie o ojcu, lecz jednocześnie czuła, jakby markiz był stale przy niej

i także potrzebował jej pomocy. Zastanawiała się, jakim sposobem mogłaby mu pomóc; lecz czuła zamęt w głowie.

Pałac Kingsclere wyglądał przytulnie i swojsko. Poczowała ulgę, kiedy konie zatrzymały się przed frontowymi drzwiami i kiedy ujrzała na stopniach schodów pana Duttona. Domyśliła się z jego zachowania, że ojciec jeszcze się nie pojawił.

- Co się stało? Niech mi pan powie, co się stało papie? - zapytała gwałtownie, ściskając rękę pana Duttona.

- Jakże się cieszę, że panienkę widzę - odrzekł, - Chodźmy i usiądźmy, opowiem wszystko, co wiem o całej sprawie.

Imeldra przeszła przez hol kierując się w stronę saloniku. Pan Dutton postępował za nią. Spostrzegła, że zostawił drzwi otwarte, żeby móc usłyszeć powóz wiozący jej ojca do domu. Twarz Imeldry była blada, w jej oczach czaił się strach.

- Jak pan się dowiedział o tym, że papa miał wypadek? - zapytała.

- Jeden z jeźdźców konnych towarzyszących powozowi jego lordowskiej mości w drodze do Dover został tu przysłany przez doktora, który udzielił rannemu pierwszej pomocy.

- Więc jak to było?

- Ten jeździec, Jason, którego sobie pani pewnie przypomina, mówił, że w tym wypadku nie było ani krzty winy ojca pani.

- Tak przypuszczałam - wyszeptała Imeldra.

- Jego lordowska mość powoził czwórką konie ze zwykłą sobie biegłością - mówił dalej pan Dutton. - Znajdował się właśnie na wąskim odcinku drogi, kiedy nagle z boku wyjechał na niego dyliżans pocztowy prowadzony przez pijanego woźnicę. Nasz człowiek, Jason, dowiedział się później, iż ten woźnica założył się z pasażerami, że dotrze do Dover w rekordowym tempie. Imeldra zacisnęła dłonie. Słyszała nieraz, że często wypadki zdarzają się, dlatego że

pasażerowie dyliżansów pocztowych raczą w gospodach woźniców trunkami i namawiają do bicia rekordów szybkości. Oznaczało to, że konie przez cały czas były okładane bitem i ponaglone. Był to proceder nie tylko okrutny, ale też niebezpieczny.

- Według relacji Jasona - kontynuował pan Dutton - jego lordowska mość dzięki umiejętności powożenia uratował konie przed czołową kolizją z karetką pocztową, która pędziła wprost na jego powóz przewracając go i rozbijając na przydrożnych drzewach.

Imeldra wydała okrzyk przerażenia, a pan Dutton mówił ścisząc głos:

- Ojciec pani został ciężko ranny, a dama, która podróżowała z nim razem, zginęła na miejscu!

Imeldra zakryła twarz rękami i dopiero po chwili odezwała się drżącym głosem:

- Ale papa... żyje?

- Kiedy Jason opuszczał go, bardzo cierpiał - tłumaczył pan Dutton. - Lekarz dał mu silny środek uspokajający, więc zapadł w otępienie, lecz przedtem jeszcze wydał pewne polecenie.

- Jakie polecenie?

- Jason wyrażał się niejasno na temat damy, która poniosła śmierć. Powiedział tylko, że jego lordowska mość wydał polecenie, dokąd należy odwieźć jej ciało. Potem kazał służącym, którzy odnieśli tylko lekkie obrażenia, żeby zorganizowali mu jak najszybszy powrót do domu.

- Kto był z ojcem oprócz Jasona? - zapytała Imeldra.

- Drugim jeźdźcem był Ben. Podróżował z nimi również stajenny, którego imienia Jason nie mógł sobie przypomnieć. - Pan Dutton przerwał na chwilę, a potem dodał: - Osobisty służący jego lordowskiej mości Danvers jechał w wozie podróżnym wiozącym bagaże.

- To dobrze, że Danvers był z ojcem - wyszeptała Imeldra.

- Ja też tak myślę - przytaknął pan Dutton. - Danvers potrafi zastąpić doświadczoną pielęgniarkę. Obawiam się, że trudno nam będzie znaleźć w sąsiedztwie kogoś odpowiedniego do opieki nad chorym.

Imeldra przyznała panu Duttonowi rację.

Pielęgowaniem chorych zajmowały się nieliczne zgromadzenia zakonne. Zakonnice można było spotkać w Londynie i innych dużych miastach, lecz na prowincji w przeciwieństwie do Francji nie było zupełnie klasztorów zajmujących się opieką nad chorymi. Jedynymi kobietami, które znały się trochę na pomocy chorym, były wiejskie pielęgniarki, lecz one chętnie zaglądały do kieliszka. Nie były to osoby, które jej matka wpuściłaby do domu.

- Ja sama będę się opiekować ojcem - powiedziała Imeldra. - Pomoże mi w tym z pewnością Danvers, a także inni służący.

- To oczywiste, że służba pani pomoże - odrzekł pan Dutton. - Sądzę, że jego lordowska mość właśnie tego by sobie życzył. W głosie pana Duttona Imeldra wyczuł wątpliwość, czy dadzą sobie radę, gdyby się okazało, że ojciec jest bardzo ciężko ranny, i czy wystarczy im umiejętności, żeby się nim opiekować.

- Czy powiadomił pan już doktora Emmersona? - zapytała.

- Oczywiście - odpowiedział pan Dutton. - Był wprawdzie w jednym ze swoich objazdów, lecz sądzą, że do tej pory stajenny go już odnalazł i że przybędzie tu lada moment.

Imeldra siedziała zaciskając dłonie. - Och, panie Dutton, że też coś podobnego musiało się przytrafić papie!

Pan Dutton potrząsnął głową, jakby nie znajdując w odpowiedzi właściwych słów. Nagle Imeldrze przyszło do

głowy, że pomimo całego nieszczęścia, jakie się wydarzyło, ojciec nie będzie musiał żenić się z osobą, której nie kochał i której wcale nie pragnął pojąć za żonę. Marna to była pociecha, jednak Imeldra czuła, że jeśli ojciec wróci do zdrowia, nieszczęście, które go spotkało, może się okazać błogosławione w skutkach.

W chwili gdy to pomyślała, w drzwiach pojawił się lokaj i zaanonsował:

- Powóz zbliża się do podjazdu, milady.

* * *

Dwie godziny później Imeldra odprowadzała doktora Emmersona wychodzącego z sypialni ojca, idąc z nim razem do frontowych drzwi.

- Może pani przestać się niepokoić, lady Imeldro - rzekł lekarz. - Ojciec pani, mimo że nie jest już młody, ma niezwykle silny organizm. Zawdzięcza to zapałowi, z jakim oddaje się konnym przejażdżkom, a także temu, że na swój sposób dba o zdrowie. To bardzo ułatwia całą sprawę.

- Jest pan pewien, doktorze, że papa nie straci nogi? - zapytała przerażona.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby uniknąć amputacji - odpowiedział doktor Emmerson. - Jutro przybędzie doktor George Lawson, który cieszy się opinią nie tylko bardzo zdolnego chirurga, ale też lekarza, który nigdy nie posługuje się skalpelem, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

- Trudno mi sobie wyobrazić ojca jako inwalidę - wyszeptała.

Lekarz spojrzał na nią, a widząc łzy w jej oczach, powiedział:

- Zawsze lubiłem i szczerze podziwiałem ojca pani, natomiast pani matkę uważałem za najwspanialszą damę, jaką kiedykolwiek udało mi się spotkać. Ceniłem ją nie tylko za

urodę, lecz przede wszystkim za charakter. Myślę, że jako córce tak wybitnych rodziców uda się pani uratować ojca z opresji.

Słowa doktora sprawiły, że łzy zaczęły obficie płynąć z oczu Imeldry i toczyły się po jej policzkach.

- Będę się starała... może pan być pewien, że będę się starała - rzekła łamiącym się głosem.

- Znam panią od dziecka - mówił dalej lekarz - i wiem, że zawsze była pani odważna, a w obecnej sytuacji odwaga i dzielność będą pani bardzo potrzebne. - Położył jej rękę na ramieniu: - Nie muszę chyba pani uświadamiać, że ojciec nie będzie łatwym pacjentem. Opieka nad nim będzie wymagała wielkiej cierpliwości i oddania. Ale przecież pani go kocha, a to jest w obecnej sytuacji najważniejsze.

Uśmiechnął się do niej, a potem zaczął schodzić po stopniach do swojej jednokonnej staromodnej bryczki, która czekała na niego przed wejściem. Imeldra pomachała mu chusteczką na pożegnanie, a jednocześnie wycierała łzy z policzków. Właśnie zamierzała wrócić do domu, kiedy ujrzała nadjeżdżający powozik zaprzężony w kucyka i zaczęła się zastanawiać, do kogo mógł należeć.

Nie była to oczywiście zapowiadana wizyta w wielkim stylu, bo wówczas odwiedzający przybywałyby w powozie ze stangretem i lokajem. Gość jechał sam w małym powoziku ciągniętym przez kucyka. Ponieważ Imeldra była niezmiernie ciekawa, któż to taki, zaczęła, aż powozik minie mostek i zacznie się zbliżać w stronę frontowych drzwi.

Wtedy ujrzała powożącą eleganckim powozikiem damę w modnym kapeluszu z woalką i bladoliliowymi wstążkami zawiązanymi pod brodą. Zastanawiała się, kto to może być. Nie miała ochoty rozmawiać z obcymi i postanowiła ukryć się w domu. Niestety było już na to za późno. Powozik się

zatrzymał, dama oddała lejce stajennemu, który nie tak dawno pilnował koni doktora, i zaczęła machać w stronę Imeldry.

„Kto to może być?” - zastanawiała się Imeldra.

I nagle krzyknęła radośnie. Uświadomiła sobie bowiem, że to nikt inny, tylko Beryl Marsden, która często bywała w ich domu za życia matki, a po jej śmierci robiła wszystko, żeby dopomóc jej i ojcu, dopóki nie wyjechali za granicę. Zbiegła więc po schodach, żeby przywitać miłego gościa wysiadającego właśnie z powoziku.

- Kochana Imeldro! - zawołała lady Marsden, gdy Imeldra zaczęła ją całować. - Usłyszałam właśnie o wypadku, jakiemu uległ twój ojciec, i przyjechałam natychmiast, żeby się dowiedzieć, czy nie potrzebujesz mojej pomocy.

- Myślę, że cała okolica nie mówi o niczym innym jak o tym wypadku - odrzekła Imeldra.

- Masz rację - odrzekła lady Marsden. - Wszyscy wieśniacy i wszyscy zatrudnieni w moim majątku wciąż o tym rozprawiają. Jakże mi przykro z powodu tego nieszczęścia.

Imeldra wprowadziła ją za rękę do domu, a potem do salonu. Lady Marsden, gdy tylko usiadła, wykrzyknęła:

- Och, Imeldro, jak ty wyrosłaś i wypiękniałaś! Zawsze wiedziałam, że będziesz równie urocza jak twoja matka.

- Bardzo bym chciała, żeby to była prawda - odrzekła Imeldra. - Jeśli jestem choć trochę do niej podobna, to już jestem szczęśliwa.

- Jesteś bardzo do niej podobna - powiedziała lady Marsden. - A teraz opowiedz mi coś o ojcu. Cieszę się, że uszedł z życiem z tego wypadku, który, jak słyszałam, był bardzo poważny.

Imeldra powtórzyła jej wszystko, czego dowiedziała się od pana Duttona, a także niektóre szczegóły z relacji służącego ojca Danversa, który powrócił do domu razem z nim. Nie wspomniała tylko ani słowem, że wraz z ojcem był jeszcze

ktoś w powozie, kiedy doszło do kolizji. Czują, że jest to rzecz, którą należy utrzymać w tajemnicy.

Kiedy znajdowała się w saloniku sąsiadującym z sypialnią ojca, pan Dutton, który wyszedł z niej na czas badania lekarskiego, powiedział do niej:

- Kazałem Jasonowi i wszystkim dokoła, żeby nie rozpowiadali, że ojciec pani był w towarzystwie damy, kiedy zdarzył się wypadek, i że ta dama poniosła śmierć.

Imeldra spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Jestem pewna, że papa właśnie tego by sobie życzył - powiedziała. - Lecz czy oni dotrzymają tajemnicy?

Wiedziała, jak bardzo służący lubią plotkować. Przypuszczała, że nie będą w stanie powstrzymać się od komentowania każdego szczegółu wypadku, i to w sposób przesadzony i wyolbrzymiony.

Pan Dutton zacisnął wargi.

- Dałem im jasno do zrozumienia, że jeśli powiedzą cokolwiek, będą natychmiast zwolnieni - rzekł. - Ponieważ ludzie, którzy podróżowali z pani ojcem, pracują u nas od wielu już lat, myślę, że nie zechcą ryzykować utraty tak dobrego miejsca jak praca w Kingsclere.

- Mam nadzieję, że tak się stanie - odrzekła Imeldra, żywiąc w duchu poważne wątpliwości.

Rozumiała, że gdy do cierpień, jakie musiał znosić jej ojciec, dołączy się jeszcze publiczny skandal z powodu jego wyjazdu ze znaną piękną, jaką była niewątpliwie lady Bullington, może to tylko pogorszyć stan jego zdrowia.

- Jak się domyślam, twój ojciec wybierał się do Dover - odezwała się lady Marsden.

- Ojciec zamierzał odwiedzić na krótko Paryż - wyjaśniła - lecz teraz wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia, liczy się tylko jego wyzdrowienie.

Gdy wymawiała ostatnie słowa, głos jej się załamał, więc lady Marsden wyciągnęła dłoń i ujęła ją za rękę.

- Rozumiem doskonale, co czujesz, moja droga - rzekła. - Proszę cię, przyjmij moją pomoc. - Imeldra spojrzała na nią ze zdumieniem, a lady Marsden dodała: - Nie wiem, czy mówiono ci o tym, czy też nie, że mój mąż zmarł dwa lata temu. Chorował przez ostatnie pięć lat i nie pozwalał, żeby ktokolwiek inny go pielęgnował poza mną.

Teraz dopiero Imeldra przypomniała sobie, że lady Marsden, której ojciec miał majątek w sąsiedztwie majątku jej rodziców, wyszła za mąż za mężczyznę dużo starszego od siebie. Słyszała również, że w tym małżeństwie nie była szczęśliwa.

Patrząc na nią teraz, Imeldra zdawała sobie sprawę, że wiele musiała przecierpieć. Jej szlachetny charakter sprawił jednak, że przeżycia zahartowały ją tylko i stała się z upływem lat jeszcze miłsza i słodsza. Wracając myślami do przeszłości Imeldra przypomniała sobie, że jej matka wyrażała się o niej w samych superlatywach i że bardzo lubiła Beryl Sinclair, bo takie było jej panięńskie nazwisko. Pamiętała także ojca Beryl, który był człowiekiem bardzo zamożnym i który zatrzymał córkę w domu, nie pozwalając jej wyjść za mąż, dopóki nie osiągnie dwudziestu czterech lat. Potem zmusił ją do poślubienia swojego rówieśnika i młoda dziewczyna nie mogła się temu sprzeciwić.

Tak się złożyło, że przyjazd lady Marsden był dla Imeldry bardzo szczęśliwym wydarzeniem. Widząc ojca nieprzytomnego, przypatrując się jego przystojnej, lecz wybladłej twarzy, zdawała sobie sprawę, że dużo czasu upłynie, zanim zacznie wracać do zdrowia. Wiedziała, że będzie starała się mu dopomóc, że nie cofnie się przed niczym, lecz nie miała zbyt dużo sił, zatem każda pomocna dłoń była na wagę złota i nie należało jej odrzucać.

- Więc pani rzeczywiście chce mi pomóc? - zapytała Imeldra.

- Taki mam zamiar - odrzekła lady Marsen. - Obiecuję ci, że nie będę się mieszać w nie swoje sprawy. Jeśli u/nasz, że nie jestem ci już potrzebna, lub że po prostu przeszkadzam, powiesz mi to bez ogródek.

Mówiła tak szczerze, że Imeldra rzuciła się jej na szyję i zaczęła całować nie ukrywając wzruszenia.

- Gdyby mama żyła i znalazła się na moim miejscu, z pewnością skorzystałaby z takiej oferty - rzekła Imeldra. - Pomoc jest mi bardzo, ale to bardzo potrzebna.

Beryl, która kazała Imeldrze zwracać się do siebie po imieniu, wszystkim sobie potrafiła zjednać, nawet służba zaakceptowała ją bez zastrzeżeń. Danvers spędzał przy łóżku chorego pana całe noce, a Imeldra i Beryl podzieliły między siebie godzinny dzień tak, żeby stale ktoś był przy nim.

Kiedy zapas opium się skończył, hrabia dostał wysokiej gorączki, rzucał się niespokojnie, aż musiały siłą go powstrzymywać, ponieważ rana na nodze zaczęła krwawić. Całe ciało miał potłuczone i każdy ruch sprawiał mu wielki ból.

To Beryl zasugerowała, że zbyt duże dawki opium mogą się okazać dla niego szkodliwe. Udało jej się przekonać doktora Emmersona i doktora Lawsona, żeby choremu przepisali zioła, jeśli bóle będą nie do zniesienia. Lepiej gdy chory jest przytomny, może zająć się wtedy rozmową i łatwiej zniesie cierpienie.

- Nienawidzę tych wszystkich pastylek, które przepisują doktorzy - mówiła do Imeldry. - Mój biedny mąż dostawał ich tyle, że w końcu jego mózg był tak porażony, że przestał mnie poznawać. - Westchnęła głęboko, a potem dodała: - Kiedy wreszcie umarł, poczułam ulgę.

Imeldra wydała okrzyk przerażenia.

- Ale to się nie może przytrafić papie! Wiesz, że był zawsze pełen życia i energii. Nie zniosłabym tego, gdyby się zmienił w bezwolną kłodę.

- Masz rację - zgodziła się Beryl. - Dlatego właśnie sugeruję, żeby mu nie dawano zbyt wiele pigułek. Wiem, ile nieszczęść sprawia ciągłe ich przyjmowanie.

Nie było to wszystko takie proste, lecz Beryl na całe j szczęście знаła działanie przeróżnych ziół. Potrafiła także przyrządzić maść, bardziej skuteczną na gojenie się rany na nodze hrabiego niż środki stosowane przez doktorów.

- Gdyby pani szukała pracy, lady Marsden, to z chęcią panią zatrudnię - żartował doktor Emmerson.

Ponieważ był człowiekiem inteligentnym i wyrozumiałym, nie okazywał zazdrości, że ziołowe środki lady Marsden mają zbawienne działanie.

Początkowo hrabia był zbyt słaby, żeby rozmawiać z córką przesiadującą przy jego łóżku, lecz jako że zawsze wykazywał wielką pogodę ducha i był, jak to powiedział doktor, silnym mężczyzną, już piątego dnia wyglądał o wiele lepiej i próbował nawiązać rozmowę, Beryl była przy jego rannym przebudzeniu, a później po śniadaniu zmieniła ją Imeldra. Wtedy wyciągnął do niej rękę, a ona uklękła przy nim.

- Papo, kochany, dochodzisz do zdrowia! Moje modlitwy zostały wysłuchane.

- Czuję, że się za mnie modliłaś - odezwał się hrabia słabym głosem. - Kiedy wracałem do przytomności ze stanu otępienia, zdawało mi się, że to nie ty jesteś przy mnie, lecz twoja matka.

- Jestem pewna, że mama jest także przy tobie i stara się ci dopomóc.

Imeldra zauważyła słaby uśmiech na twarzy ojca, jakby jemu samemu także przychodziło to na myśl.

- Lady Bullington poniosła śmierć na miejscu - powiedział. - Mam nadzieję, że nikt w domu nie wie o tym.

- Nikt nawet nie wie, że była z tobą, papo - odrzekła Imeldra. - Pan Dutton nakazał uroczyście wszystkim służącym milczenie.

Hrabia odetchnął z ulgą.

- Nieszczęsna kobieta! - powiedział. - To się nigdy nie powinno było wydarzyć.

- Ale nie ma w tym przecież twojej winy, papo. Wszyscy to mówią.

- Nie mam na myśli wypadku - westchnął hrabia. - Ona nie powinna była znaleźć się ze mną. Imeldra ścisnęła palcami jego rękę.

- Co się stało, już się nie odstanie - rzekła.

Hrabia wspominał wszystko, co się wydarzyło. Po chwili powiedział jakby do siebie:

- Kazałem, żeby odwieziono jej ciało do domu jednego z jej krewnych mieszkających w pobliżu Dover. Za radą doktora powiedziano, że miałem ją odwieźć z Londynu do Dover.

Mówił powoli, jakby sprawiało mu trudność ujęcia w słowa tego, co się wydarzyło.

- Bardzo mądrze postąpiłeś, papo - powiedziała Imeldra. - Jestem przekonana, że wypełniono dokładnie twoje polecenia. Nie ukażą się zatem żadne wzmianki o wypadku.

- O to właśnie chciałem cię zapytać - powiedział hrabia. - Czy jesteś pewna, że nie pisano o tym w gazetach?

- Nie, papo, nie pisano - odrzekła. - Pan Dutton kupował wszystkie gazety, bo przypuszczaliśmy, że będziesz o to pytać, gdy poczujesz się nieco lepiej.

- Dzielna dziewczynka! - powiedział hrabia. - Cieszę się, że cię mam przy sobie.

Przymknął oczy i po kilku minutach Imeldra przekonała się, że zasnęła.

Przesiadując przy chorym ojcu Imeldra nie mogła się powstrzymać od myśli o markizie. Choćby nie wiedzieć jak była zmęczona, nie zasnęła, dopóki nie odmówiła modlitwy w jego intencji, zastanawiając się, w jaki sposób mogłaby mu pomóc. Im więcej o nim rozmyślała, tym bardziej sytuacja wydawała jej się beznadziejna.

Przypomniała sobie, że Madame Jolie wspomniała o jakichś dokumentach przechowywanych w bankowym sejfie. Była przekonana, że chodziło o świadectwo ślubu lub o jakieś listy starego markiza. Nawet gdyby te papiery uległy zniszczeniu, kobieta mogła szantażować markiza, że wystąpi przeciwko niemu z oskarżeniem przed Izbą Lordów. Mogła starać się udowodnić, że jej syn Andre jest prawowitym dziedzicem tytułu i majątku, a nie obecny markiz.

Im więcej Imeldra myślała o całej tej sprawie, tym bardziej nieprawdopodobne jej się wydawało, żeby ojciec markiza, cieszący się ogólnym poważaniem, mógł popełnić bigamię. Nie chciało jej się też wierzyć, żeby narażał syna na takie kłopoty, w jakich znalazł się obecnie.

- Och, kochany, co ja mogę dla ciebie zrobić? - pytała samą siebie Imeldra leżąc w ciemności.

Czuła, że jej myśli wciąż krążą dokoła niego. Była pewna, że on czuje, jak bardzo go kocha, jak bardzo za nim tęskni i jak bardzo chciałaby ukoić jego smutek.

Wydawało jej się to niemożliwe, żeby ludzie tak sobie bliscy musieli zostać na zawsze rozdzieleni. Czasami myślała, że jest to przepaść nie do przebycia.

Jej pragnienie ujrzenia go przybierało nieraz formę fizycznego cierpienia i wtedy chciała się zerwać i jechać do pałacu lub napisać do niego, żeby przyjechał. Wiedziała, że ponownie rozstanie byłoby dla niego torturą nie do zniesienia.

Nie potrzebowała jego zapewnień, żeby wiedzieć, jak bardzo za nią tęskni. Zastanawiała się, czy rozmawiał o niej z

panem Gladwinem, jej rzekomym dziadkiem. Potem pomyślała, że to by było dla markiza zbyt bolesne i że nikomu nie zechce zwierzyć się ze swoich uczuć.

Jedyną rzeczą, jaką mogła dla niego zrobić, była modlitwa. Już ją kolana zaczynały boleć od długiego klęczenia, a Bóg, jak jej się zdawało, przestał jej słuchać.

Jeśli Bóg ją opuścił, to matka również przestała interesować się jej kłopotami, zajęta wyłącznie przyniesieniem ulgi rannemu mężowi dochodzącemu do zdrowia.

Po kilku dniach Beryl zaproponowała, żeby zastąpiły Danversa, ponieważ jemu też należało się odespanie zarwanych nocy. Teraz one zajmą jego miejsce co trzecią lub co czwartą noc.

- To dobry pomysł - zgodziła się Imeldra. - Ja także już o tym myślałam.

- Twój ojciec czuje się znacznie lepiej, a ponieważ w saloniku sąsiadującym z jego sypialnią stoi sofa, osoba pełniąca przy nim dyżur mogłaby położyć się na niej i być na każde zawołanie chorego.

- Ja wezmę pierwszy dyżur - powiedziała Imeldra.

- Dobrze - zgodziła się Beryl - lecz przyrzeknij mi, że mnie obudzisz o drugiej.

- Obiecuję - odrzekła Imeldra wiedząc, że Beryl nie pozwoli jej siedzieć całą noc przy ojcu.

Ponieważ było dużo wygodniej leżeć na sobie w koszuli nocnej i szlafroku, Imeldra weszła do sypialni ojca, aby mu powiedzieć dobranoc w takim właśnie stroju i z rozpuszczonymi na ramiona włosami. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Wyglądasz jak twoja matka. Tak właśnie wyglądała, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy z rozpuszczonymi włosami. Pomyślałem wówczas, że trudno wyobrazić sobie kobietę piękniejszą i powabniejszą.

Gdy to mówił, Imeldrze przyszło na myśl, że bardzo by chciała, żeby markiz w podobny sposób był nią urzeczony. Ponieważ nie przestawała o nim myśleć, przysiadła na brzegu łóżka ojca i zapytała:

- Czy podczas swoich podróży zagranicznych słyszałeś o śpiewaczce nazywanej przez wielbicieli Madame Jolie?

- Oczywiście, że słyszałem - odpowiedział hrabia. - Dziwi mnie tylko, dlaczego o nią pytasz.

- Ktoś rozmawiał o niej w mojej obecności - odparła Imeldra. - Co ci o niej wiadomo?

- Miałem wówczas chyba dwadzieścia lat, kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy w Paryżu - powiedział hrabia. - Właśnie wtedy zaczynała być sławna.

- Czy była piękna?

- Tak, piękna i urzekająca, a śpiewała jak słowik. Cały Paryż szalał na jej punkcie.

- Czy poznałeś ją osobiście, papo?

- Zaprosiłem ją na kolację raz czy dwa razy - odrzekł hrabia - lecz już wówczas była związana uczuciowo z pewnym włoskim hrabią, Antonio Cellinim.

Imeldra wydała okrzyk zdumienia. - Ale ja przecież go poznałam!

- W istocie, zetknęłaś się z nim - potwierdził hrabia. - Czy przypominasz sobie, jak podczas naszego pobytu w Rzymie namalował obraz pałacyku, w którym mieszkaliśmy, a ja odkupiłem go od niego.

- Przypominam sobie dokładnie - powiedziała Imeldra.

I stanął jej przed oczami włoski hrabia, mężczyzna w średnim wieku, o siwiejących włosach i czarnych, wymownych oczach, który mówił, że jest piękna i że chciałby namalować jej portret. Choć uważała go za uzdolnionego malarza, jednak odmówiła mu pozowanie, gdyż bardzo ją to nudziło i wolała spędzać czas w towarzystwie ojca.

- A więc Madame Jolie kochała hrabiego - rzekła powoli Imeldra.

- Nie tylko go kochała - odpowiedział hrabia - lecz ku wielkiemu zdumieniu i konsternacji całej jego rodziny poślubiła go.

Imeldra oniemiała ze zdumienia.

- Wyszła za niego za mąż? - powiedziała po chwili zmienionym głosem.

- To był z jego strony postępek bardzo nierozsądny - kontynuował hrabia Kingsclere. - Zawsze mu współczułem z tego powodu. Może właśnie dlatego kupowałem jego obrazy, choć nie były nadzwyczajne.

- I sądzisz, że oni nadal są małżeństwem? - zapytała Imeldra.

- Oczywiście że są - odparł hrabia. - Przecież obydwójce są katolikami. Jednak Jolie porzuciła go wkrótce, ponieważ nie miał wystarczająco dużo pieniędzy na jej zachcianki, nie obsypywał jej biżuterią, jak się tego spodziewała. - Ponieważ Imeldra milczała, ojciec mówił dalej: - Antonio wprowadził się w towarzystwie wielu pięknych kobiet, lecz tak naprawdę to potrzebna mu była żona, która by wniosła mu w posagu duże pieniądze, i takiej właśnie żony rodzina pragnęła dla niego.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć! - zawołała Imeldra.

- Ciekaw jestem, co się teraz dzieje z Jolie - powiedział hrabia. - Przez jakiś czas była kochanką króla Holandii i wielu innych bogatych mężczyzn, którzy ubiegali się o jej względy. Pamiętam, jak jeden z nich, nie pomnę teraz jego nazwiska, mówił mi, że Jolie stanowi jeden z cudów Paryża. Oczywiście mężczyźni musieli słono płacić za przywilej oglądania jej.

- I przez cały ten czas była żoną Celliniego - zapytała Imeldra, jakby wciąż nie docierały do niej słowa ojca.

- I nadal jest zapewne jego żoną, chyba że już nie żyje - odezwał się hrabia. - Już od dłuższego czasu o niej nie słyszałem.

Mówił to obojętnym tonem, lecz serce Imeldry przez cały czas biło gwałtownie. Był taki moment, kiedy chciała powiedzieć ojcu o wszystkim. Potem pomyślała, że cała ta historia mogłaby go zmartwić i zaniepokoić, a przecież spokój był dla niego teraz najważniejszy, żeby mógł szybko dojść do zdrowia.

- Dobranoc, papo - powiedziała pochylając się, by go pocałować w policzek. - Gdybyś czegoś potrzebował, zawołaj, a ja pojawię się natychmiast.

- Dziękuję ci, kochanie - odrzekł hrabia. - Czuję się już dużo lepiej i nie ma powodu, żebyś ty, czy ten anioł dobroci, Beryl, czuwała przy mnie. Wystarczy mi dzwonek dla wezwania w razie potrzeby Danversa.

- Myślałyśmy już o tym - powiedziała Imeldra. - Ale ja bardzo lubię być przy tobie. Ponieważ czujesz się lepiej, sprawia mi to wielką radość.

Właściwie czuła radość z zupełnie innego powodu. Kiedy już się położyła na sofie i zawinęła w prześcieradła, zaczęła powtarzać wciąż te same słowa:

- Dzięki ci, Boże, dzięki ci. Wysłuchałeś moich modlitw i teraz nic nie stanie na przeszkodzie naszemu szczęściu.

Kiedy Beryl przysłała o drugiej w nocy, żeby zająć jej miejsce, hrabia spał już mocno.

- Śpij dobrze - powiedziała Beryl do Imeldry, kiedy ta opuszczała salonik.

Kiedy Imeldra wróciła do swej sypialni, natychmiast usiadła za biurkiem i wzięła do ręki pióro. Zastanawiała się, w jaki sposób powinna powiadomić markiza o swoim odkryciu. Powodowana pierwszym impulsem chciała wysłać do niego list lub nawet pojechać do pałacu i opowiedzieć mu o

wszystkim. Potem zaczęła dostrzegać trudności i ogarniały ją coraz większe wątpliwości. Kochała markiza i była pewna, że on też ją kocha, ale krępowała ją myśl, że gdyby powiedziała markizowi, że jest wolny, on czułby się w obowiązku poślubienia jej.

Choć wiedziała, że są stworzeni dla siebie, instynkt podpowiadał jej, że mężczyzna musi sam dokonać wyboru, że nikt nie może wpływać na jego decyzję. Zdawała sobie także sprawę, że markiz będzie chciał sprawdzić wiarygodność relacji hrabiego dotyczącej małżeństwa Madame Jolie z włoskim arystokratą. Nie było rzeczą właściwą, żeby pomagała mu w tych poszukiwaniach i stwarzała pozory, jakby chciała go zmusić do małżeństwa.

Rozmyślając o tym wszystkim, czuła w głowie kompletny zamęt. Jednocześnie intuicja, która jeszcze nigdy jej nie zawiodła, podpowiadała jej, że nie powinna podejmować żadnych kroków, lecz raczej pozwolić markizowi działać. Wzięła do ręki pióro i wyjęła papier listowy ze skórzanej teczki ozdobionej herbem ojca. Na papierze również widniał herb hrabiowski oraz adres. Zastanawiała się przez chwilę, następnie wzięła nożyczki i odcięła górną część arkusza razem z adresem. Potem powoli zaczęła pisać nie swoim odręcznym pismem, lecz drukowanymi literami: PRZED PIĘCIOMA LATY MADAME JOLIE POŚLUBIŁA HRABIEGO ANTONIO CELLINIEGO MIESZKAJĄCEGO W RZYMIE W SWOJEJ WILLI NOSZĄCEJ JEGO IMIĘ. HRABIA JEST ZNANYM W MIEŚCIE ARTYSTĄ MALARZEM.

Przeczytała list jeszcze raz, wsunęła do koperty i zaadresowała. Potem położyła się do łóżka i rozmyślała w ciemności, w jaki sposób go przesłać, żeby markiz się nie domyślił, skąd pochodzi.

Przypuszczała, że gdy otrzyma list, będzie niezmiernie ciekaw, kto dostarczył mu tej informacji, lecz nie chciała,

żeby łączył jej osobę z całą tą sprawą. Nie było zresztą żadnego powodu, żeby tak miał pomyśleć. Nie widział przecież, że podsłuchiwała jego rozmowę z Madame Jolie.

Była przekonana, choć nigdy jej o tym nie mówił, że nie życzyłby sobie, aby się dowiedziała o zarzutach wysuwanych przeciw jego ojcu, dopóki pomówienia nic zostaną sprostowane lub przynajmniej pójdą w niepamięć.

Wydawało jej się wprost nieprawdopodobne, że Madame Jolie zdołała wyciągnąć od markiza tak znaczną sumę pieniędzy, a on nie starał się sprawdzić wiarygodności opowiadanej przez nią historii. Zaufał śpiewaczce opierając się wyłącznie na dokumentach, które mu przedstawiła.

Imeldra była przekonana, że te dokumenty musiały być fałszywe, i dziwiła się, że Madame Jolie zdołała na ich podstawie wydobyć od markiza w zamian za milczenie tak ogromne sumy. Markiz nie dochodził prawdziwości słów śpiewaczki, gdyż obawiał się, że zadawanie pytań może wzbudzić podejrzenia wielu osób i zwrócić ich uwagę na sprawy, których nie chciał wydobywać na światło dzienne.

„On stara się bronić dobrego imienia swojego ojca i matki, zupełnie nie licząc się z konsekwencjami. Na jego miejscu zrobiłabym to samo - pomyślała Imeldra. - Jest to jeszcze jeden dowód jego wielkiej szlachetności. Tak postępując poświęca samego siebie dla dobra rodziny.”

W miarę jak sobie to uświadamiała, jej miłość do markiza rosła coraz bardziej, a tęsknota stawała się dotkliwsza. Jednak czarne myśli, które jej nie opuszczały od chwili wyjazdu z Marizon, zaczęły ustępować pogodniejszym. Czuła się tak, jakby w ciemnym tunelu dostrzegła nagle światło.

„To papa mnie uratował - pomyślała. - Gdyby zginął w wypadku, nigdy bym się nie dowiedziała prawdy. Utraciłabym dwóch ludzi, którzy się dla mnie liczą na tym świecie.”

Odmówiła modlitwę dziękczynną. Tak bardzo zagłębiła się w modlitwie, że nie czuła, jak łzy poczęły płynąć po jej policzkach, lecz były to łzy szczęścia. Po wielu burzach i cierpieniach na niebie jej uczuć pojawiła się różnobarwna tęcza.

Rozdział 6

Hrabia Kingsclere poruszył się niespokojnie na łóżku, a po chwili zawołał:

- Imeldro!

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy Beryl znalazła się przy jego boku. Spojrzał na nią zdumiony. Pamiętał, że zasypiając powiedział dobranoc córce.

- Musi być już później, niż przypuszczałem - powiedział.

- Dochodzi trzecia - odezwała się Beryl miłym głosem.

- Czy coś ci podać?

- Chciałbym się czegoś napić - odpowiedział hrabia - lecz przykro mi, że cię obudziłem. - Jeszcze nie spałam.

Postawiła świecę przy jego wezgielcu i podeszła do stolika, na którym Denvers przed odejściem przygotował dzbanek z oranżadą i lodem. Beryl nalała płyn do szklanki i podała ją hrabiemu. Ponieważ nie chciała stać nad nim i czekać, aż wypije, usiadła na krześle w pobliżu łóżka.

Hrabia przypatrywał jej się w świetle świecy i rzuciło mu się w oczy, że wygląda bardzo młodo z rozpuszczonymi jasnymi włosami, które były zupełnie innego koloru niż włosy jego córki, opadającymi na starannie zapięty pod szyją niebieski szlafrok ozdobiony wążutką koronką.

- Czy nic cię nie boli? - zapytała troskliwie.

- Tylko odrobinę - powiedział hrabia - kiedy robię jakiś gwałtowny ruch. Wiesz, że doktorzy pozwolili mi jutro wstać z łóżka i posiedzieć trochę przy oknie.

- Wkrótce znów będziesz jeździć konno i już ci nie będą potrzebne pielęgniarki.

Wyczuł nutę żalu w jej głosie.

- Mam wrażenie, że wciąż będę cię potrzebował. I to nie tylko dlatego, że jesteś tak miła i dotrzymujesz towarzystwa Imeldrze. Twoja obecność wiele dla niej znaczy, a i ja bardzo się cieszę, że jesteś z nami.

Na twarzy Beryl pojawił się rumieniec i spuściła oczy, tak bardzo była zawstydzona.

- Myślałem sobie rano - mówił dalej hrabia spokojnym tonem - że pielęgnowanie w chorobie starszego pana to nie jest dla ciebie odpowiednie zajęcie. Powinnaś mieć własne dzieci i zajmować się nimi.

Beryl westchnęła głęboko.

- Bardzo chciałabym mieć dzieci - odrzekła - zwłaszcza syna, ale... mój mąż... nie mógł zostać ojcem.

Jej oszczędne słowa odsłoniły hrabiemu skrywaną prawdę, że jej małżeństwo nie było szczęśliwe.

- Musisz wyjść ponownie za mąż - powiedział delikatnie.

- Jestem już na to zbyt stara - odrzekła uśmiechając się słabo - ale gdy Imeldra wyjdzie za mąż, mogę zostać matką chrzestną jej dzieci.

- Kiedy Imeldra wyjdzie za mąż! - odezwał się hrabia po chwili namysłu. - Jej zamążpójściu przeszkodził ten mój fatalny wypadek. Gdyby nie moja choroba, byłaby w Londynie i uczestniczyłaby w zabawach i balach mijającego sezonu. Wszystko było dla niej przygotowane.

- Ona nigdy cię nie opuści, chyba że będzie wiedziała, że poradzisz sobie doskonale bez niej - rzekła Beryl. - Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim to się stanie.

- Imeldra jest dla mnie bardzo dobra - wyszeptał hrabia jakby do siebie - ale musi mieć okazję, żeby poznać odpowiedniego mężczyznę.

- Mam nadzieję, że spotka kogoś takiego i zakocha się.

- Czy sądzisz, że miłość jest nieodzowna w małżeństwie?
- zapytał.

W pokoju zapanowała chwila ciszy, jakby Beryl się zastanawiała, czy powiedzieć prawdę.

- Tak. Bez miłości trudno o szczęście w małżeństwie.

Hrabia znów opadł na poduszki, lecz wciąż patrzył na nią.

- Nie musimy grać przed sobą w tej nocnej godzinie - odezwał się hrabia. - Powiedz mi, czemu poślubiłaś człowieka, którego wybrał dla ciebie ojciec? - Beryl spojrzała na niego zdumiona, a on mówił dalej: - Imeldra coś mi napomknęła na ten temat i chciałbym wiedzieć, jak to właściwie było. Beryl wykonała bezsilny gest.

- Nie miałam wyjścia - odrzekła. - Nikt inny nie prosił o moją rękę, bo ojciec nie uznawał żadnych gości poza swymi przyjaciółmi będącymi w jego wieku.

- A zatem był tylko lord Marsden i nikogo innego.

Beryl skinęła głową, a potem rzekła szybko:

- Nie powinnam była ci tego wszystkiego mówić.

- A to czemu? - zapytał hrabia. - Każdy powinien mieć czasem okazję, żeby szczerze powiedzieć to, co myśli i czuje. Znamy się, Beryl, od tylu lat. Mógłbym niemalże być twoim ojcem.

Beryl roześmiała się.

- Co za pomysł! Mam już przecież trzydzieści trzy lata.

- W takim razie jestem od ciebie prawie dziesięć lat starszy.

- Dla mnie zawsze jesteś młody - powiedziała Beryl. - Nikt nie chce wierzyć, że masz dorosłą córkę!

- Pochlebiasz mi, Beryl - zaśmiał się hrabia. - Co do mnie, to czułem się młodo aż do chwili tego fatalnego wypadku.

- Nadal jesteś młody, a gdy znów zaczniesz jeździć konno, odzyskasz swój dawny animusz.

- Śmiem w to wątpić - powiedział hrabia. - Kiedy tak tu leżałem, przyszło mi do głowy, że postarzałem się nie tyle cieleśnie, ile duchowo. Wiele razy w życiu postępowałem niemądrze i być może zostałem ukarany za wszystkie moje błędy.

Hrabia miał na myśli romans z lady Bullington i fakt, że został wprost zmuszony do ucieczki z kraju razem z nią, lecz

Beryl nie wiedziała nawet o jej istnieniu, więc patrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Nie chciała jednak, żeby hrabia oddawał się smutnym rozmyślaniom, gdyż mogłoby mu to zaszkodzić, więc powiedziała szybko:

- Myślę, że każdy, kto ciebie zna, podziwia cię za twoje osiągnięcia sportowe i za wysokie nagrody, które zdobywasz na wyścigach konnych.

- Chciałbym wierzyć, że jest tak, jak mówisz - odrzekł hrabia. - Niestety w innych dziedzinach nie daję równie dobrego przykładu.

- Na pewno zaczniesz brylować i w innych dziedzinach.

- Być może masz rację - odrzekł hrabia - lecz kiedy człowiek otrze się tak blisko o śmierć, jak mnie się to przydarzyło, zaczyna myśleć o epitafium, jakie pragnąłby, żeby umieszczono na jego grobie.

Beryl zachnęła się.

- Nie powinieneś ani myśleć, ani mówić o śmierci! Powinieneś rozmyślać o życiu, o przyszłości. - Przewala na chwilę, uśmiechnęła się do niego, a potem dodała: - Zawsze ci zazdrościłam twojej ogromnej radości życia, tej cechy tak bardzo cenionej przez Francuzów, a nie docenianej przez naszych rodaków.

- Radość życia - wyszeptał hrabia. - Tak, Beryl, masz rację. Istotnie miałem szczęście, że mogłem się cieszyć życiem przez wiele lat, lecz były w moim życiu również mroczne momenty, były okresy pustki i takie, kiedy czułem się bardzo samotny.

- To zupełnie zrozumiałe - odrzekła Beryl. - Jednak jesteś przecież na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że złe okresy nie trwają wiecznie, że potrafisz je przewyciężyć i rozpocząć wszystko od nowa.

Czy to rzeczywiście możliwe, żeby rozpocząć wszystko na nowo? - zapytał hrabia. - Może jednak masz rację, lecz

przestańmy mówić o mnie, pomówmy o tobie. Beryl roześmiała się.

W porównaniu z twoim życiem pełnym przygód moje jest jak nie zapisana karta, jak księga, w której niewiele jest do czytania.

Hrabia przyjrzał się jej poważnie, a potem powiedział:

- A więc już czas, żebyś nareszcie zaczęła żyć naprawdę.

- Ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

- O tym właśnie musimy w przyszłości poważnie pomyśleć - rzekł hrabia spokojnie. - Zastanowię się nad tym, kiedy nie będę mógł zasnąć, i mam nadzieję, że znajdę jakieś rozwiązanie.

- Ależ ty musisz spać - zaprotestowała Beryl. - To ja raczej muszę ci pomóc, żebyś stanął na nogi i wrócił do dawnych sił.

Odebrała od niego pustą szklanekę i postawiła ją na stoliku obok dzbanka z oranżadą. Potem podeszła znów do niego i zręcznie zaczęła poprawiać mu poduszki.

- Ponieważ zachowujesz się niespokojnie, pewnie znów masz gorączkę.

Położyła rękę na jego czole. Jej palce były zimne i delikatne. Hrabia milczał, a ona odezwała się po chwili:

- Nie masz temperatury. Myślę, że chyba coś cię trapi. Pozwól, żebym ci pomasowała czoło. Musisz w tym czasie myśleć o czymś przyjemnym, a wówczas nie będziesz miał trudności z zaśnięciem.

Mówiąc to zaczęła delikatnie gładzić palcami jego czoło. Jej dotknięcie wywierało na niego wpływ magnetyczny. Czuł, jak znika niepokój i rozpraszają się troski, których istnienie dobrze odgadła. Nawet nie wiedział, kiedy zapadł w sen.

Imeldra wracała z ogrodu niosąc naręcze kwiatów. Zakwitały właśnie bzy, więc pomyślała, że postawi bukiet w pokoju ojca, żeby swoim zapachem przytłumił mdłe wonie

maści leczniczych i płynów do nacierania, którymi Danvers masował nogę ojca.

Właśnie okrążyła budynek, kiedy spostrzegła stojący przed wejściem imponujący powóz zaprzężony w czwórkę koni, ze stangretem w zielono - złotej liberii siedzącym na koźle i lokajem w podobnym stroju stojącym przy drzwiczkach. Przyjrzała się wszystkiemu z zaciekawieniem i wbiegła po schodach na górę, a potem weszła do holu.

- Któż to do nas przyjechał? - zapytała kamerdynera cichym głosem.

- Właśnie posłałem do pani na górę jednego z lokajów z zapytaniem, czy jego lordowska mość czuje się na tyle dobrze, żeby przyjąć lorda Bullingtona - odrzekł kamerdyner.

Imeldra wydała cichy okrzyk.

- Pójdę i powiadomię o tym jego lordowska mość - rzekła i pobiegła do sypialni ojca.

Właśnie dzisiaj doktor pozwolił choremu pierwszy raz wstać z łóżka. Hrabia nie był jeszcze ubrany, lecz miał na sobie ciemny aksamitny szlafrok. Na szyi miał zawiązaną jedwabną chusteczkę, dzięki czemu wyglądał równie uwodzicielsko, jakby miał fantazyjnie zawiązany krawat.

Słońce oświetlało jego twarz, która wprawdzie wychudzona i blada z powodu choroby, jednak nic nie utraciła ze swojej urzekającej urody. Kiedy się do niej uśmiechnął, pomyślała, że trudno sobie wyobrazić mężczyznę przystojniejszego od jej ojca. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego.

- Papo, przyjechał lord Bullington i chce się z tobą zobaczyć - odezwała się z przejęciem.

Hrabia spojrzał na nią zdumiony.

- Bullington przyjechał? Jesteś tego pewna? - zapytał.

- Tak, papo. Czego on może chcieć od ciebie? Hrabia zacisnął wargi. Mogło być wiele różnych przyczyn tej niespodzianej wizyty.

- Nie wypada, żebym zachował się niegrzecznie i go nie przyjął - odpowiedział. - Powiedz służącym, aby wprowadzili go do mnie na górę i przynieśli butelkę szampana.

Imeldra już otwierała usta, żeby sprzeciwić się życzeniu ojca, jednak wkrótce rozmyśliła się. Jednego przynajmniej mogła być pewna, mianowicie tego, że ojciec stawi czoło niezręcznej sytuacji, niezależnie od tego, jak bardzo mogła okazać się trudna.

- Przekażę służbie twoje polecenia, papo - rzekła.

Lokaj czekał przy drzwiach i jemu przekazała rozkazy hrabiego. Potem weszła do swojej sypialni drżąc na całym ciele w obawie, że lord Bullington może sprawić ojcu jakąś przykrość.

Hrabia natomiast wcale nie był zdenerwowany, lecz z pewną dozą ciekawości oczekiwał na gościa. W najlepszym razie rozmowa będzie nieprzyjemna, pomyślał. Nie czuł się jeszcze na tyle dobrze, żeby odpiierać oskarżenia czy stawić czoło ewentualnym atakom ze strony lorda Bullingtona.

Zdecydował się ponieść konsekwencje swoich czynów z godnością, jaka przystoi dżentelmenowi, wyprostował się więc, mimo że przy wykonywaniu tego ruchu odczuł tak dotkliwy ból, że aż jęknął. Zraniona noga spoczywała na stołeczku przykryta przez Imeldrę lekkim szalem należącym do matki.

- To był ulubiony szal mamy - tłumaczyła ojcu. - Nie tylko będzie ci pod nim ciepło, lecz przenikną do ciebie lecznicze fluidy, ponieważ mama tam na górze życzy ci z pewnością szybkiego powrotu do zdrowia.

- Bardzo mi na tym zależy i chciałbym, żeby tak było - odpowiedział hrabia. - Jestem wam wszystkim wdzięczny,

tobie, kochanie, i Beryl, i Danversowi, za wasze starania i pielęgnację.

- Cieszę się, że o nas pomyślałeś, papo - odrzekła - jednak sądzę, że najbardziej skuteczna jest twoja wola wyzdrowienia. Tak przynajmniej twierdzi doktor Emmerson.

- Doktorzy zawsze muszą mieć rację - odpowiedział ironicznie hrabia. - Są wszystkowiedzący, w co nie należy wątpić.

Imeldra roześmiała się.

- Beryl nie podziela tej opinii. Uważa, że ten cud działały jej magiczne zioła i że to ona uratowała cię przed pigułkami lekarzy.

- Muszę koniecznie podziękować jej za to - rzekł hrabia.

- Ja już jej dziękowałam w twoim imieniu - odezwała się Imeldra - przede wszystkim za to, że jest tutaj z nami. Wydaje mi się to dziwne, jednak nie ulega wątpliwości, że Beryl wygląda teraz na dużo szczęśliwszą i pogodniejszą niż kiedykolwiek.

Hrabia nic nie odpowiedział, ale zaczął zastanawiać się nad Beryl, kiedy córka opuściła jego pokój. Drzwi się otworzyły i kamerdyner zaanonsował:

- Lord Bullington, milordzie! Hrabia spojrzał pytająco na gościa.

Lord Bullington był to wysoki mężczyzna o dystyngowanym wyglądzie i pompatycznym sposobie bycia. Był człowiekiem niezwykle majątnym, a ponadto ściśle związanym z kręgami dworskimi. Nic więc dziwnego, że młodziutka i urodziwa dziewczyna, na którą zwrócił uwagę, została niemal natychmiast zmuszona przez rodziców do poślubienia go. Elaine Bullington przyznała się hrabiemu, że nie była ani trochę zakochana w swoim przyszłym mężu.

- On był starszy ode mnie o szesnaście lat - mówiła. - I choć początkowo byłam dumna, że mam zostać żoną osoby tak

znakomitej i znanej w wielkim świecie, to życie z Lionelem przerażało mnie zawsze.

- Innymi słowy nie byłaś w nim zakochana - zauważył hrabia.

- Nigdy nikogo nie kochałam oprócz ciebie - rzekła namiętnie lady Bullington. - Kocham cię do szaleństwa, świata poza tobą nie widzę i jedynym moim pragnieniem jest być w twoich ramionach.

Hrabiego oczarowała jej uroda, lecz wkrótce przekonał się, że razi go jej przesadny sposób wyrażania uczuć. Ponadto jej namiętność była zbyt demonstracyjna, żeby mogła go pociągnąć. Od śmierci żony nigdy nie był zakochany w żadnej z kobiet, które kręciły się dookoła niego. Kiedy znajomość nie miała już posmaku przygody, czuł się bardzo szybko znudzony, nie znajdował bowiem w niej nic fascynującego.

Podczas całego okresu znajomości z Elaine Bullington nigdy nie myślał, żeby z nią uciec i związać się na stałe. Właściwie chciał już całą tę przygodę zakończyć, gdy z powodu niedyskrecji lady Bullington, jej mąż niespodziewanie dowiedział się o ich romansie. Urażony i upokorzony, że jego żona wolała od niego innego mężczyznę, zażądał rozwodu nie oglądając się na skutki. Nie myślał o niczym innym jak tylko o dopełnieniu zemsty na kobiecie, której ofiarował tak wiele, a która, czego był świadom, nie oddała mu nigdy swojego serca.

Przysłał więc do hrabiego swojego adwokata, żeby go powiadomić, że zamierza wystąpić do Parlamentu z pozwem o rozwód. Swojej zaś żonie polecił natychmiast opuścić dom, ponieważ nie chciał już jej więcej widzieć. Kiedy Lady Bullington przybiegła z płaczem do hrabiego po pomoc, wiedział, że jedynym honorowym wyjściem jest zabranie jej za granicę i poślubienie, gdy uzyska rozwód.

Nie pragnął tego związku nie tylko z uwagi na towarzyszący mu skandal. Lady Bullington nie była typem

kobiety, jakiej pragnął na żonę i macochę dla Imeldry. Zbyt późno uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce, z której nie było ucieczki. Jednak wiedział, że niezależnie od wszystkiego musi zachować się, jak na dżentelmena przystało.

I oto lord Bullington zbliżył się powoli do hrabiego.

- Dzień dobry, Kingsclere! Cieszę się, że widzę cię w lepszym zdrowiu - powiedział.

- Wciąż nie mogę się ruszać - odrzekł hrabia - wybaczyć więc, że nie wstanę na twoje powitanie.

- Ależ oczywiście, oczywiście!

Lord Bullington usiadł na krześle w pobliżu hrabiego. Zapanowała mecząca cisza, którą po jakimś czasie przerwał gość, widząc pytające spojrzenie gospodarza.

- Postanowiłem cię odwiedzić, Kingsclere, ponieważ czuję się w obowiązku, żeby ci podziękować.

- Podziękować? Mnie? - zdziwił się hrabia.

- Doniesiono mi - kontynuował lord Bullington - że podczas wypadku, mimo że byłeś bardzo ciężko ranny, okazałeś tyle przytomności umysłu, żeby odesłać ciało mojej żony do jej krewnych z wyjaśnieniem, że podwoziłeś ją tylko z Londynu do Dover. - Lord Bullington wymawiał każde słowo bardzo powoli, potem przerwał na chwilę, a w końcu mówił dalej: - To było bardzo zręczne posunięcie z twojej strony, które zapobiegło skandalowi.

- Miałem taką nadzieję - powiedział spokojnie hrabia. - Chciałbym ci jednak, Bullington, złożyć wyrazy ubolewania, że stałem się powodem śmierci twojej żony.

- Mówiono mi, że w tym wypadku nie było twojej winy - odrzekł lord Bullington. - Z mojego punktu widzenia ważne jest, że Elaine, niezależnie od całej swojej lekkomyślności, nie została pohańbiona publiczną infamią i że nie będzie plotek i domysłów na temat jej podróży z tobą do Dover.

- Myślę, że w takiej sytuacji nikt nie dowie się prawdy - rzekł hrabia.

- Kiedy krewni Elaine - opowiadał dalej lord Bullington - przysłali do mnie posłańca z wiadomością, co się wydarzyło, byli tym oczywiście bardzo zdumieni, lecz ja natychmiast złożyłem winę na pocztę za niedoręczenie jej listu powiadamiającego ich o jej planowanej wizycie u nich. Wmówiłem im, że ten list zapewne zaginął.

- Postąpiłeś bardzo mądrze - zauważył hrabia.

- Czułem, że jest to jedyna rzecz, którą można zrobić w danych okolicznościach - rzekł lord Bullington. - Oczywiście na nic by się to nie zdało, gdyby nie twoja przytomność umysłu bezpośrednio po wypadku.

Hrabia pochylił tylko głowę na te wyrazy uznania czując, że nic więcej nie ma do dodania. Wielką ulgę sprawiło mu wejście kamerdynera w towarzystwie lokaja, którzy przynieśli butelkę szampana i kryształowe kieliszki na srebrnej tacy. Lord Bullington przyjął poczęstunek z radością i tak szybko opróżnił do połowy swój kieliszek, jakby bardzo potrzebował wsparcia.

Kiedy służący wyszli zostawiając butelkę w kubelku z lodem na stoliku obok hrabiego, gość odezwał się:

- Chciałbym, Kingsclere, przedyskutować z tobą pewną sprawę.

- Cóż takiego?

Lord Bullington zdawał się wahać z doborem odpowiednich słów.

- Jego Królewska Mość, o czym ci zapewne wiadomo - zaczął - stara się zainteresować wyścigami konnymi, o których jako żeglarz nie ma zielonego pojęcia.

- Istotnie słyszałem coś o tym - zgodził się hrabia.

- Król zapytał mnie - kontynuował lord Bullington - kogo bym mu rekomendował do zajęcia stanowiska królewskiego koniuszego. Chciałbym za twoją zgodą zaproponować ciebie.

Kiedy skończył mówić, hrabia nie posiadał się ze zdumienia.

- Chcesz wystawić moją kandydaturę? - zapytał hrabia. Lord Bullington pociągnął łyk wina z kieliszka.

- Jestem twoim dłużnikiem, Kingsclere - rzekł. - Uratowałeś dobre imię moje i mojej rodziny. Oszczędziłeś mi wielu przykrości. Muszę jednak dodać, że działałem w pośpiechu i bez przygotowania. Jestem ci bardzo wdzięczny, ponadto sądzę, że nadajesz się znakomicie na królewskiego koniuszego, jeśli będziesz przebywał w Anglii częściej i dłużej niż dotychczas.

Hrabia wstrzymał oddech.

- Wprost nie chce mi się wierzyć w to, co słyszę - powiedział ze słabym uśmiechem.

- Pomyślałem sobie - mówił dalej lord Bullington, jakby nie dosłyszał uwagi hrabiego - że Jego Królewska Mość byłby usatysfakcjonowany, gdybyś tu, w Kingsclere, urządził pokaz koni i wyścigi jeszcze tej jesieni, przed rozpoczęciem sezonu w Londynie. - Hrabia aż zaniemówił z wrażenia, więc lord Bullington kontynuował: - Sądzę, że mogłyby to być biegi przełajowe lub gonitwy dla koni różnych klas. Myślę, że dla Jego Królewskiej Mości byłaby to wielka atrakcja, łącznie z pobytem w Kingsclere, o którym król wie, że stanowi najpiękniejszą siedzibę w Anglii.

Gdyby w obecności hrabiego wybuchła bomba, nie mógłby być bardziej zdumiony. A jednocześnie już widział oczami wyobraźni, jak interesujące widowisko potrafiłby urządzić. Bardzo go ucieszyła wiadomość, że monarcha nie tylko zainteresował się jeździectwem, tym królem wszelkich sportów, lecz że pragnie pogłębić swoją wiedzę na ten temat.

Niemniej jednak był oszołomiony, że jego kandydaturę wysunął lord Bullington.

- To będzie dla mnie oczywiście wielki zaszczyt móc gościć u siebie Ich Królewskie Mości - powiedział. - Rozumiem, Bullington, co masz na myśli, gdy idzie o wyścigi. Myślę, że weźmie w nich udział wiele osób z całego kraju, a może nawet z zagranicy!

- Tak sobie właśnie to wyobrażałem - odezwał się lord Bullington. - Zresztą ty, jako królewski koniuszy, wiesz najlepiej, jak to zorganizować. A w Londynie pojawisz się tylko wtedy, gdy będziesz miał na to ochotę.

- Zgoda - rzekł hrabia - przyjmuję twoją propozycję z przyjemnością i jestem ci bardzo wdzięczny.

- Ja także jestem ci bardzo wdzięczny - powiedział lord Bullington.

Hrabia wyciągnął rękę w stronę stolika i uniósł butelkę szampana.

- Myślę, Bullington, że powinniśmy to uczcić toastem! - rzekł.

Lord Bullington podsunął swój kieliszek i hrabia nalał najpierw jemu, a potem sobie. Wkrótce potem lord Bullington zaczął się zbierać do wyjścia.

- Do widzenia, Kingsclere - powiedział już przy drzwiach. - Życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia. W ciągu tygodnia będziesz miał zapewne wizytę lorda szambelana.

- Będę czekał z niecierpliwością na jego instrukcje - odpowiedział hrabia.

Gdy drzwi się zamknęły za lordem Bullingtonem, hrabia opadł z ulgą na poduszki. Nigdy nie przypuszczał, że rozmowa z lordem Bullingtonem przybierze taką właśnie postać i że on sam wejdzie do kręgów dworskich dzięki jego wstawiennictwu. Tytuł królewskiego koniuszego to jedyny tytuł dworski, który był skłonny zaakceptować. Zdawał sobie

sprawę, że będzie wykonywał swoje obowiązki lepiej od kogokolwiek innego.

Już zaczął planować, jak zorganizuje wyścigi we własnym majątku. Przyszło mu też do głowy, że należy zbudować dodatkowe stajnie, które będą niezbędne z okazji tej imprezy, lecz przydadzą się też w przyszłości. W myślach układał listę sąsiadów, którzy byli właścicielami najlepszych koni, kiedy do pokoju weszła Imeldra. Była blada i wyraźnie zatroskana.

- No i czego on chciał od ciebie, papo? - zapytała. Hrabia uśmiechnął się.

- Niełatwo ci będzie w to uwierzyć - rzekł - bo i ja miałem niejakie z tym trudności, ale stoi przed tobą koniuszy Jego Wysokości króla Wilhelma IV!

Imeldra patrzyła na niego w osłupieniu.

- Co ty mówisz, papo? Nic nie rozumiem.

- Mówię, kochanie, że Bullington przedstawił mnie królowi jako kandydata do objęcia stanowiska królewskiego koniuszego!

- Wprost nie do wiary!

- Ja też byłem zaskoczony, ale to prawda - odrzekł hrabia.

- Będziemy musieli urządzić tu w jesieni najwspanialszy pokaz koni wszelkich ras dla króla jegomości i dla królowej. Ich Wysokości zatrzymają się w naszym domu! Zorganizujemy również wyścigi konne i im szybciej zabierzemy się do tego, tym lepiej!

Imeldra krzyknęła z radości. Potem objęła ojca i przytuliła policzek do jego policzka.

- Och, papo, to wspaniale! Marzyłam właśnie dla ciebie o czymś takim. Nie będziesz musiał wyjeżdżać za granicę. Pozostaniesz ze mną w Anglii.

- Los płata czasem dziwne figle - rzekł hrabia. - Mój wypadek przeszkodził ci w zabłyśnięciu na dworze. Teraz dwór przybędzie do nas. Należy się tylko z tego cieszyć!

- W istocie. Będiesz, papo, najprzystojniejszym królewskim koniuszym, jakiego kiedykolwiek widziano na dworze, a także takim, który najlepiej zna się na koniach.

- Mam taką nadzieję - odrzekł hrabia. - Martwi mnie tylko, że nie będę mógł dosiąść konia!

- Już my się o to postaramy, żebyś wyzdrowiał. Obiecuję ci, że staniesz na nogi - rzekła Imeldra. - A teraz muszę opowiedzieć o wszystkim Beryl! A to się dopiero zdziwi!

Odwróciła się i zaczęła iść ku drzwiom.

- Tak, możesz o tym powiedzieć Beryl - rzekł do niej hrabia - tylko nie wspominaj słowem o lady Bullington.

- Ależ to zrozumiałe, papo - odrzekła Imeldra. - Myślę, że lord Bullington zaproponował ci to stanowisko z wdzięczności za uniknięcie skandalu.

- Ja też tak myślę - powiedział hrabia. - Dobrze się stało, że wydałem wszystkie dyspozycje, zanim doktor wlał mi do ust to paskudne laudanum.

- Twoja stara niania mówiła mi kiedyś - rzekła Imeldra - że nie widziała równie psotnego chłopca jak ty, lecz też nie spotkała takiego, co by umiał równie szybko wyplątywać się z kłopotów.

Hrabia roześmiał się.

- Myślę, że niania miała rację. Cieszę się, że i w tej sytuacji zachowałem zimną krew.

- Ja także jestem rada z tego powodu - przytaknęła Imeldra.

Podeszła znów do niego, żeby go pocałować.

- Och, papo, jak ja się cieszę! To dla ciebie wprost wymarzone zajęcie. Teraz możemy wesoło się bawić w naszym domu, wydawać przyjęcia, podejmować gości. Znów będzie tak jak dawniej, zanim zacząłeś podróżować po całej Europie.

- Będzie tak jak za dawnych czasów - powtórzył hrabia.

Imeldra odgadła, że ojciec myśli o tym, jak bardzo brakuje mu zmarłej żony. Pomyślała, że jednak nie wszystko będzie się toczyło po dawnemu, ponieważ zabraknie w domu gospodyni, która by ten dom poprowadziła.

Pobiegła do pokoju Beryl i opowiedziała jej o tym, co się wydarzyło. Beryl była u siebie, gdyż rano przy boku chorego zastąpił ją Danvers, który przyszedł o ósmej, żeby odsunąć zasłony w sypialni hrabiego. Choć podczas swojego nocnego dyżuru drzemała trochę, jednak nie był to prawdziwy sen, gdyż obawiała się, że hrabia może jej potrzebować. Wróciła do swojej sypialni i spała smacznie aż do momentu, kiedy około pierwszej przyniesiono jej obiad. Obecnie była już wykąpana i ubrana i właśnie zamierzała zejść na dół, kiedy Imeldra wpadła do jej pokoju przynosząc dobre nowiny.

- Królewski koniuszy! - zawołała Beryl. - Trudno wyobrazić sobie godniejsze stanowisko. Jak to miło ze strony Jego Królewskiej Mości, że pomyślał o twoim ojcu!

- To rzeczywiście wspaniale! - przytaknęła Imeldra uważając, że lepiej będzie nie wspominać o udziale lorda Bullingtona w całej tej sprawie.

Imeldra i Beryl zeszły do ogrodu i dopiero w czasie podwieczorku weszły do saloniku hrabiego. Chory rozmawiał właśnie z administratorem i zarządcą, którzy ze zdumieniem słuchali poleceń swego pana. Każdy z nich zapisywał je w notatniku i lista ta zajmowała kilka stron.

- Papo, zbyt długo pracujesz, powinieneś się już położyć - rzekła Imeldra.

Obydwaj panowie poczuli się winni.

- Do jesieni jest jeszcze dużo czasu - mówiła dalej Imeldra. - Teraz musisz koniecznie odpoczywać, bo inaczej nie będziesz w stanie podejmować dostojnych gości i całe przedsięwzięcie poniesie fiasko.

- Myślę, że ma pani rację, milady - odezwał się zarządca.
- Pojawimy się tu jeszcze jutro, jeśli jego lordowska mość będzie się czuł na tyle dobrze, żeby nas przyjąć.

- Z pewnością będę się czuł dobrze - zapewnił hrabia. -
Dopiero zaczynam obmyślać wszelkie szczegóły. Chcę zbudować tor wyścigowy z prawdziwego zdarzenia. Trzeba będzie zniwelować spory kawał gruntu w pobliżu obecnego toru do galopowania.

- Tak, oczywiście - zgodził się zarządca.

Ponieważ Imeldra stała przy drzwiach, odszedł w pośpiechu, kłaniając się jej z szacunkiem. Kiedy dziewczyna zamknęła drzwi za gośćmi, do sypialni wszedł Danvers.

- Dobrze, że panią widzę, milady - rzekł. - Jego lordowska mość nie chciał mnie słuchać, kiedy już od dwóch godzin mówiłem mu, że powinien się położyć.

- Dobrze, już dobrze, zaraz się kładę - obiecał im hrabia znużonym głosem. - Wprawdzie mój umysł jest całkiem sprawny, lecz noga wciąż mnie boli.

- Zmienię panu opatrunek, milordzie - powiedział Danvers i zdjął nogę hrabiego ze stołeczka, popychając fotel w stronę sypialni.

Imeldra ustawiła kwiaty, które ze sobą przyniosła, na stoliku pod oknem i patrząc na park zastanawiała się, czy konie markiza również wezmą udział w jesiennych wyścigach. Była pewna, że tak. Jednocześnie po wysłaniu markizowi anonimowego listu w sprawie Madame Jolie, Imeldra zaczęła mieć wątpliwości, czy informacje, jakich udzielił jej ojciec, nie były przypadkiem fałszywe.

Być może Francuzka nie była żoną Antonio Celliniego, kiedy urodziła syna, być może ten syn nie był jego synem, może jej małżeństwo z markizem było legalne, a więc Andre był prawowitym markizem Marizon. Takie myśli ciągle chodziły jej po głowie, choć czas miała zajęty rozlicznymi

zajęciami. Wielokrotnie wyliczała sobie, ile czasu powinna zająć markizowi podróż do Włoch, a potem do Paryża w celu ujawnienia prawdy. I wydawało jej się, że miną wieki, zanim ujrzy go znowu. Jediną rzeczą, którą mogła dla niego zrobić, to posyłać mu swoje myśli pełne miłości i modlić się gorąco w jego intencji. Świadomość, że nie mogą być razem, dopóki się wszystko nie ułoży, sprawiały jej ból. Nawet kiedy usilnie starała się przekonywać samą siebie, że wszystko będzie dobrze, łzy same napływały jej do oczu. Ponieważ nie chciała, żeby Beryl czy ojciec zauważyli, że coś ją gnębi, opuściła ojca. Po chwili do sypialni hrabiego weszła Beryl szukając Imeldry. Hrabia leżał już w pościeli, a po obu stronach baldachimowego łoża, w którym sypiali zawsze hrabiowie Kingsclere, stały dwa wazony pełne wiosennych kwiatów. W głowach łoża znajdowała się ozdobna tarcza herbowa. Spojrzawszy na hrabiego Beryl pomyślała, że rodowe zawołanie, które przetłumaczone z łaciny brzmiało: „Walczyć aż do zwycięstwa”, świetnie pasuje do hrabiego. Kiedy zbliżyła się do niego, on podniósł do góry szklanę, jakby wznosił toast.

- Trudno wyobrazić sobie odpowiedniejszą dewizę niż ta, która znajduje się ponad twoją głową - rzekła.

- Masz rację - odezwał się hrabia. - Sądzę, że Imeldra przekazała ci już dobre wieści.

- Jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu - powiedziała Beryl. - Na pewno odniesiesz wielki sukces.

Hrabia odstawił szklanę.

- Gdyby mi się nie powiodło - powiedział - nie zmartwi mnie to ze względu na mnie samego. Ważne jest, żebym nie zawiódł oczekiwań twoich i Imeldry.

- Zawsze uważałam, że powinieneś zajmować jakieś eksponowane stanowisko - powiedziała - i to nie tylko w naszym hrabstwie, lecz na forum ogólnokrajowym. Jesteś

typem człowieka, którego ludzie podziwiają i za którym zawsze chętnie pójda.

- Lecz w ciągu ostatnich kilku lat nie mieli wielu powodów do podziwu - zauważył hrabia.

Bery roześmiała się.

- Jeśli masz na myśli swoją reputację - rzekła - to mogę cię zapewnić, że wszyscy oprócz może kilku leciwych kobiet nie tylko podziwiają cię, lecz także ci zazdroszczą, a młodzi daliby sobie uciąć rękę, żeby być takimi jak ty.

- Czy to możliwe? - zapytał hrabia, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Przysięgam, że to prawda - odrzekła Beryl. - Nieraz słyszałam, jak mówiono o tobie. Wszyscy mężczyźni w wieku mojego ojca i męża uważali, że jesteś szarmancki i czarujący i chcieliby ci dorównać. A młodzi, z czego nie zdawałaś sobie nawet sprawy, naśladowali cię we wszystkim, kopiowali twój sposób zawiązywania krawata, styl jazdy konnej, a nawet strategię podbojów miłosnych. Liczyli też pilnie swoje podboje sądząc, że ty tak robisz.

Beryl mówiła to wszystko impulsywnie, nie dobierając słów, wreszcie rumieńce wstydu wystąpiły na jej twarzy. Hrabia natomiast roześmiał się.

- Zdziwiasz mnie, Beryl - rzekł. - Nigdy nie przypuszczałem, że tak mnie cenisz.

- Ale to święta prawda - odparła Beryl - i kiedy Imeldra opowiedziała mi o tym, co wydarzy się w jesieni, pomyślałam, że wszyscy będą musieli nie tylko przygotować swoje konie, lecz wyostrzyć rozum i dobre maniery, przypomnieć sobie, że życie ma swoje uroki. Hrabia wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Podejdź do mnie, Beryl. Chciałbym ci coś powiedzieć.

Zbliżyła się do niego i kiedy jego ręka ścisnęła jej palce, poczuła drżenie na całym ciele. Zdawała sobie sprawę, że on

to wyczuł, usiadła więc na brzegu posłania patrząc na niego pytająco.

- Ubiegłego wieczora - rzekł hrabia poważnym tonem - powiedziałaś mi, że nigdy nie byłaś zakochana. Kiedy o tym rozmyślałem, przyszło mi do głowy, że to nie może być prawda.

- Czemu tak sądzisz? - zapytała Beryl.

- Myślę, że jesteś zakochana, tylko nie chcesz nawet przed sobą do tego się przyznać.

Patrzyła na niego w osłupieniu, potem usiłowała wyrwać rękę z jego uścisku, lecz nie pozwolił jej na to.

- Cofnąłem się w przeszłość - mówił dalej hrabia - pomyślałem sobie, choć mogę oczywiście się mylić, że kiedy Imeldra była jeszcze całkiem małą, interesowałaś się mną jako mężczyzną.

Rumieniec pojawił się na twarzy Beryl i odwróciła od niego wzrok.

- Kiedy cię poznałem - mówił spokojnie hrabia - byłem pod wrażeniem twojej urody, a kiedy mi powiedziano, że właśnie wyszłaś za męża, sądziłem, że jesteś szczęśliwa. Teraz wiem, że tak nie było. Ponieważ znów pojawiłaś się w moim życiu, Beryl, mam nadzieję, że potrafiłbym dać ci szczęście, którego tak bardzo ci brakuje.

Po chwili ciszy Beryl odezwała się ledwo dosłyszalnym głosem:

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Chciałem ci powiedzieć, Beryl - rzekł - że bardzo cię potrzebuję. Bardziej niż czegokolwiek w życiu. Pragnę, żebyś dała mi syna, którego do tej pory nie było nam dane mieć. Pragnę, żeby Kingsclere miało dziedzica. Żeby nasz syn był szczęśliwy w domu należącym do swoich przodków i żeby przekazał go dalej swoim dzieciom.

Teraz hrabia wyczuł wyraźnie, że Beryl drży. Łzy napęłniły jej oczy, kiedy zapytała łamiącym się ze wzruszenia głosem:

- Czy ty to mówisz poważnie?

Hrabia uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem.

- Pytam cię, kochanie, czy zostałąbyś moją żoną - powiedział. — Myślę, że ponieważ i ty mnie potrzebujesz, będziemy razem bardzo szczęśliwi.

Łzy popłynęły ciurkiem po policzkach Beryl.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć! - łkała. Hrabia puścił jej rękę i wziął ją w objęcia.

- Odkąd tylko pamiętam... zawsze cię kochałam - rzekła. - Lecz ponieważ wiedziałam, że nigdy mnie nie pokochasz, nie miało dla mnie znaczenia, jaki los mnie spotka, byłam jednak pewna jednego, że nigdy nie pokocham nikogo innego.

Hrabia nic nie odpowiedział, tylko przytulił ją mocniej i zbliżył usta do jej ust. Całował ją tak długo, aż poczuła słodycz rozlewającą się po całym ciele, a on był już całkiem pewien, że pragnie, aby taka właśnie kobieta została jego żoną i panią domu.

- Kocham cię! - wyznał. - Przysięgam, że będziesz ze mną szczęśliwa.

Mówiąc to czuł, że okres jego wędrówek zakończył się definitywnie. Chciał nareszcie ustatkować się i wypełnić swoje życie zajęciami godnymi jego pozycji i tytułu. Miał dość gonitwy za mrzonkami przynoszącymi mu tylko rozczarowanie i nic więcej.

Spodziewał się, że mogą mieć z Beryl jeszcze kilkoro dzieci. Radość z posiadania potomstwa i radość z hodowli koni wypełni teraz bez reszty jego życie. W zapomnienie pójdą skandale i awantury, jakich wiele było dotychczas w jego życiu.

Całował łzy płynące po policzkach Beryl, a ona powtarzała radośnie:

- Kocham cię... kocham... nic innego się teraz nie liczy, tylko... miłość i ty!

Rozdział 7

- Och , papo, kochany! Jakże się cieszę! Spełniłeś moje najskrytsze marzenie!

Mówiąc to całowała najpierw ojca, a potem Beryl.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - zapytała Beryl nieśmiało.

- Właśnie taką kobietę jak ty wybrałabym na żonę dla mojego ojca, gdyby mnie zapytał o zdanie! Z przerażeniem myślałam, że mógłby ożenić się z jedną z tych światowych piękności, które kręciły się koło niego. Taka dama odsunęłaby mnie na bok, żeby mieć mego ojca wyłącznie dla siebie.

- Możesz być pewna, że ja tego nigdy nie zrobię. Imeldra uśmiechnęła się do niej.

- Teraz musisz, papo, szybko wyzdrowieć - rzekła do ojca. - Czeka na ciebie wiele obowiązków.

- Wiem o tym - powiedział hrabia. - Już rozpocząłem robić plany dotyczące pokazu koni oraz wyścigów, a przede wszystkim muszę pomyśleć o naszym ślubie.

Mówiąc to spojrzał na Beryl i ujął ją za rękę. Imeldra, która znała go dobrze, dostrzegła czułość w jego oczach.

Był to wyraz zupełnie odmienny od ognistych spojrzeń, które wymieniał z innymi kobietami otaczającymi go po śmierci żony.

Od czasu przybycia do nich Beryl Imeldra często myślała, że bardzo będzie jej brakować, kiedy opuści ich dom. Ucieszyła się więc, że Beryl pozostanie na zawsze w Kingsclere. Imeldrze przychodziło też na myśl, że gdyby spełnił się cud, o który błagała w swych modlitwach, i markiz oświadczyłby się o jej rękę, nie musiałyby już mieć wyrzutów sumienia, że pozostawia ojca samego.

Lecz czy to nastąpi i kiedy to się stanie, było dla niej wielkim znakiem zapytania. Nocami budziła się i rozmyślała, czy nie powinna go powiadomić, kim naprawdę jest.

Zastanawiała się, jak to zrobić, żeby nie wyglądało, że stara mu się narzucać i żeby markiz nie czuł się zobligowany do poślubienia jej po czułych wyznaniach, jakie wymienili.

Widziała, jak kobiety zabiegały o względy jej ojca, a on w skrytości ducha wcale nie zwracał na ich umizgi uwagi. Chciał być wolny i lekcewał sobie naciski czy żądania. Może markiz, gdy już przestała nad nim ciążyć ponura tajemnica, chce nacieszyć się życiem w kawalerskim stanie, może nie pragnie małżeńskich więzów.

Imeldra robiła w myśli rozmaite plany, w jaki sposób nie narzucając się poinformować markiza, kim jest w istocie. Gdy już coś postanowiła, odrzucała to natychmiast, gdyż jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że jeśli markiz pragnie jej wystarczająco mocno, powinien ją odnaleźć wbrew wszelkim przeciwnościom. Tak przynajmniej dzieje się w bajkach.

Jednak było jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o takich sprawach. Z jej obliczeń wynikało, że muszą upłynąć jeszcze przynajmniej trzy tygodnie lub nawet miesiąc, zanim markiz wróci do Anglii. Była jednak stale przy nim myślami i czuła wyraźnie, że on także o niej myśli.

„Kocham go” - powiedziała do siebie.

Czuła w sercu ukłucie zazdrości patrząc na szczęście, jakim się cieszą ojciec i Beryl. Ale nie chciała zakłócać im tego szczęścia i radosnego sam na sam, toteż zasugerowała Beryl, żeby posiedziała zamiast niej przy ojcu, podczas gdy ona uda się do ogrodu, narwać trochę kwiatów.

- Ależ oczywiście, kochanie - rzekła Beryl - zrobię wszystko, czego sobie życzysz. Tylko czy nie robisz tego dla mnie? Nie chcę odgradzać cię od twego ojca, możesz przebywać z nim tyle ile dawniej.

- Nigdy jeszcze ojciec nie był tak szczęśliwy i nie wyglądał tak młodo - odrzekła Imeldra. - Jego samopoczucie

jest teraz najważniejsze, bo gdy będzie w dobrym nastroju, jego noga szybciej się zagoi.

Beryl roześmiała się.

- Zawsze mi mówiono, że szczęście leczy zarówno ciało, jak też ducha.

Kiedy opuściły jadalnię i Imeldra skierowała się w stronę frontowych drzwi, zobaczyła, jak Beryl pędem biegnie na górę do sypialni hrabiego. Ponieważ dzień był ciepły i słoneczny, nie zabrała ze sobą kapelusza, lecz wyszła tak jak stała, niosąc ze sobą tylko nożyczki i koszyczek, do którego zamierzała wkładać kwiaty.

Kiedy szła pośród kwitnących krzewów bzu, kierując się ku części ogrodu, którą matka pozostawiła w naturalnym stanie nie pozwalając, żeby ogrodnicy tam cokolwiek zmieniali, pomyślała, że grzechem byłoby zabieranie tych pięknych kiści z ich naturalnego środowiska.

W dzikim ogrodzie kwitły także magnolie. Ich białe i różowe kwiaty właśnie się otwierały ku słońcu. Były tak urzekająco piękne i świeże, że Imeldra stanęła i przyglądała się im z radością, a jednocześnie pomyślała, że chciałaby dzielić ten widok z markizem. Ponieważ w Marizon wszystko było tak piękne i doskonałe, wiedziała, że poczucie piękna nie jest markizowi obce, że przemawia ono do niego równie mocno jak do niej. Te myśli wprawiły ją w zachwyt i uniesienie, lecz jednocześnie zrodziła się tęsknota za nim. Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu i że krzew magnolii, któremu się przyglądała, staje się rozmazany i niewyraźny.

W tej samej chwili usłyszała za sobą kroki, lecz ponieważ nie chciała, żeby ktokolwiek ujrzał ją w tym stanie, nie odwróciła głowy, mając nadzieję, że jeśli to ogrodnik, to minie ją bez słowa. Kiedy kroki zatrzymały się, Imeldra pomyślała, że to pewnie służący z jakąś wiadomością. Wytarła oczy ukradkiem, odwróciła się i zamarła.

Przed nią stał markiz. Wyglądał imponująco, wysoki i barczysty, na tle kwitnących krzewów, a w jego twarzy był wyraz, jakiego dotychczas nie widziała. Nie była w stanie ruszyć się ani cokolwiek powiedzieć. Potem widząc, że markiz rozpostarł ramiona, rzuciła się z okrzykiem radości w jego objęcia.

Czuła, jak mu serce bije i jak jego usta szukają jej ust. Gdy zaczął ją całować, wydało jej się, że słońce śle ku nim swoje blaski. Pocałunki markiza były namiętne i ogniste, nie tylko dlatego że bardzo mu jej brakowało, lecz także dlatego że obawiał się, iż mógłby ją utracić. Po chwili, która wydała się całym wiekiem, kiedy markiz wzięił ją w swoim uścisku i wprawiał w stan ekstazy pocałunkami, uwolnił jej usta.

- Kocham cię... kocham! - mówiła bezładnie. - Jak to możliwe, że wróciłeś tak prędko?

Mówiąc to przestraszyła się, że być może okazało się, że jej ojciec pomylił się i markiz w ogóle nie pojechał do Włoch. Jakby czytając jej myśli, markiz przytulił ją mocniej.

- Jestem uratowany, kochanie - powiedział. - Teraz już mogę uczynić cię moją żoną.

Znów ją pocałował, a jego pocałunek był gorący niczym ogień, lecz Imeldra nie czuła strachu. Wiedziała, że bierze ją w posiadanie jak swoją własność od dawna mu przeznaczoną. Gdy obojgu już brakło tchu, markiz odezwał się chrapliwym głosem:

- Jak to możliwe, że jesteś taka piękna? Piękniejsza niż wówczas, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy. Zawsze byłaś moja. Ale kocham cię nie tylko dla urody. Kocham całą twoją istotę, która do mnie należy.

Jego słowa wprawiły Imeldrę w drzenie. Chowając twarz na jego ramieniu wyszeptała:

- Jakim sposobem mnie odnalazłeś? Nie spodziewałam się, że wrócisz do Anglii tak szybko!

Markiz roześmiał się radośnie.

- Kiedy poradziłaś mi, co mam zrobić, od razu udałem się do Paryża.

- Ja tobie poradziłam? - zdziwiła się Imeldra. - Skąd mogłeś wiedzieć, że ta informacja pochodzi ode mnie?

Markiz spojrział na nią z wyrazem czułości.

- Nie zapominaj, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy i jak doskonale się rozumiemy, moja droga. Czy wyobrażasz sobie, że biorąc do ręki kartkę, którą ty pisałaś, że czytając twoje słowa, mogłem nie wiedzieć, że pochodzą od ciebie?

- Rzeczywiście byłeś tego pewien? - zapytała.

- Najzupełniej!

- Ale przecież nie wiedziałeś, że odkryłam twój sekret.

Markiz uśmiechnął się.

- Nie trzeba być detektywem, żeby się o tym przekonać. Opowiem ci o tym przy innej okazji, a teraz chciałbym cię tylko całować i zapytać, kiedy zostaniesz moją żoną.

I nie czekając na jej odpowiedź, zaczął ją całować. Po chwili odsunęła go od siebie i rzekła:

- Jestem taka ciekawa... tak strasznie ciekawa... nawet nie marzyłam, że przyjedziesz do mnie... że mnie odnajdziesz.

- Nie doceniasz bystrości mojego umysłu i... mojej miłości - rzekł markiz. - W przyszłości nigdy ci nie pozwolę, byś odeszła bez słowa.

Jego usta musnęły jej policzek.

- Kiedy w pośpiechu i bez pożegnania opuściłaś Marizon - powiedział - początkowo nie mogłem zrozumieć, co się stało.

- Miałam nadzieję, że pan Gladwin wyjaśni ci, że mój ojciec uległ wypadkowi.

- O tym powiedziano mi, zanim nawet zadałem pytanie. - Imeldra spojrzała na niego ze zdumieniem, a markiz wyjaśnił: - Gdy mój gość odjechał, znalazłem się w takiej depresji, że

pragnąłem natychmiast z tobą porozmawiać. Nie zamierzałem ci mówić, co się stało, lecz chciałem znaleźć się blisko ciebie. Przy tobie czułem się bezpiecznie i mogłem choć na chwilę uciec od dręczących mnie koszmarów. - Imeldra słuchała uważnie nie przerywając mu, a on mówił dalej: - Zapytałem więc o ciebie kamerdynera, a on mi odrzekł:

„Panna Gladwin odjechała, milordzie. Przysłano po nią powóz, bo jak słyszałem, jej ojciec miał wypadek.”

„Wyjechała? - zapytałem w oszołomieniu. - Kiedy to się stało?”

„Proszę pozwolić mi zebrać myśli - odpowiedział. - Było to zaraz potem jak panna Gladwin opuściła bibliotekę, gdzie szukała jakiejś książki i udała się na górę. W chwilę później posłałem do niej lokaja z listem, który dla niej przywieziono.”

- Zatem domyśliłeś się - odezwała się Imeldra - że będąc w bibliotece mogłam podsłuchać twoją rozmowę prowadzoną w sąsiednim pokoju.

- Byłem wręcz tego pewien - odrzekł markiz. - Pomyślałem najpierw, że opuściła Marizon, ponieważ poczułaś się zgorziona i zaszokowana tym, co usłyszałaś.

- Ale wcale tak nie było - wyjaśniła Imeldra. - Bardzo się tylko tym wszystkim zmartwiłam i zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym ci dopomóc.

- Gdybym ja to wówczas wiedział - odrzekł markiz. - Myślałem wtedy, że cię na zawsze utraciłem.

- Jakże mi przykro - wyszeptała Imeldra.

- Nawet nie przypuszczałem, że będę tak cierpieć na myśl, że już cię więcej nie ujrzę. Kiedy mój rozum mówił mi jedno, serce podpowiadało, że myślisz o mnie i mnie kochasz.

- Jak mogłeś nawet przez chwilę sądzić, że może być inaczej?

Mówiła z taką namiętnością w głosie, że markiz nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować. Kiedy już minęła

chwila największego uniesienia, usiedli na ławeczce pod drzewem magnolii i Imeldra położyła głowę na ramieniu markiza, a on objął ją mocno i delikatnie całował jej włosy i czoło.

- Kiedy otrzymałem karteczkę mówiącą, że Madame Jolie jest żoną włoskiego arystokraty, byłem przekonany, że pochodzi od ciebie. Zdawało mi się, że niebo otwarło się nade mną, że słońce przebiło ciemności, w których przebywałem tak długo.

Imeldra spojrzała na niego pytająco.

- Czy wybrałeś się do Włoch? - zapytała.

- Nie, zdecydowałem, że pojedę do Francji - odrzekł. - Intuicja mówiła mi, że tak właśnie powinienem postąpić.

Znów pocałował ją w czoło.

- Ale wówczas już wiedziałem, kim jesteś naprawdę.

- W jaki sposób do tego doszedłeś? Markiz uśmiechnął się.

- W Marizon wszyscy o niczym innym nie rozmawiali jak tylko o wypadku, któremu uległ nasz najbliższy sąsiad hrabia Kingsclere. - Imeldra uniosła twarz ku niemu, a on dodał: - Zapominasz, kochanie, że ja mam również konie wyścigowe i choć konie twojego ojca zawsze zwyciężają, wszystko, co tylko u hrabiego się wydarzy, jest przedmiotem zainteresowania moich stajennych, trenerów i w ogóle wszystkich od chłopca kuchennego począwszy, a na gospodyni skończywszy.

Imeldra roześmiała się.

- A więc wszyscy wiedzieliście o tym, że papa miał wypadek - rzekła po chwili.

- Byłem tym bardzo przejęty, kiedy się dowiedziałem - rzekł markiz - bo ja także darzę twojego ojca wielką sympatią.

- Imeldra spojrzała na niego zdumiona, a on dodał: - A teraz

kocham jego córkę tak mocno, że trudno to wprost wyrazić słowami.

Byłby ją znów pocałował, lecz Imeldra przerwała mu.

- Jeszcze mi dotąd nie wyjaśniłeś, w jaki sposób dowiedziałeś się, że jestem córką hrabiego Kingsclere?

- Nie było to wcale takie trudne - uśmiechnął się markiz. - Podejrzałem, że pan Gladwin nie jest twoim prawdziwym dziadkiem i kiedy mój zarządca powiadomił mnie, że hrabia Kingsclere uległ wypadkowi jadąc do Dover, bo zderzył się z dyliżansem pocztowym, powiedziałem do niego:

„Jakże mi przykro z tego powodu. Choć jego lordowska mość jest wdowcem, mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto potrafi zaopiekować się nim w chorobie.”

„Jest z nim jego córka, milordzie - odpowiedział zarządca. - Słyszałem, że lady Imeldra świata nie widzi poza swoim ojcem.”

- A więc taka była kolej rzeczy - zawołała Imeldra.

- Nie sądziłem, żeby wiele młodych kobiet w naszym kraju nosiło imię Imeldra - wyjaśnił markiz. - Uzmysłowiłem sobie też wielkie podobieństwo pomiędzy tobą a twoim ojcem.

- I wtedy wybrałaś się do Francji.

- Nie tylko wiedziałem, kim jesteś, lecz domyślałem się, skąd pochodziła przekazana mi przez ciebie informacja.

- I co było dalej?

- Kiedy przybyłem do Paryża - opowiadał markiz - udałem się do naczelnika policji. Jakież ze mnie głupiec, że nie zrobiłem tego wcześniej! Oszczędziłoby mi to

wielu nieszczęść, goryczy i oczywiście pieniędzy.

- I co on ci powiedział?

- Ujawnił, że już od dłuższego czasu żywi podejrzenia, że Madame Jolie działając z bratem, znanym policji fałszerzem dokumentów, wyłudza od różnych osób pieniądze. - Markiz przerwał na chwilę, a potem dodał: - Jak mogłem być tak

łatwowierny i nie sprawdzić wcześniej przedstawionych mi dokumentów.

Kiedy markiz sam sobie robił wyrzuty, Imeldra przytuliła się mocniej do niego. Wyczuwając jej oddanie uśmiechnął się, a potem mówił dalej:

- Całe szczęście, że mam już to wszystko poza sobą! Nie będziemy się teraz wdawali w szczegóły. Przy pomocy inspektora wykryłem, że brat Jolie sfałszował świadectwo ślubu i spreparował listy pisane rzekomo przez mojego ojca, które Jolie mi pokazywała jako dowody.

- W jaki sposób zetknęła się z twoim ojcem?

- Spotkała go jeden jedyny raz, kiedy śpiewała w ambasadzie brytyjskiej. Było to podczas pierwszej wizyty mojego ojca w Paryżu. Został wówczas posłany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych do ambasadora. - Przerwał na moment, a potem kontynuował: - Jolie była wówczas bardzo piękna, a jej głos słynny w całej Europie. Później z wdzięczności za okazaną przez ambasadora gościnność mój ojciec postanowił wydać przyjęcie i zwrócił się do Jolie z zapytaniem, czy nie zgodziłaby się zaśpiewać dla jego gości.

- Miała zatem próbkę jego odręcznego pisma.

- No właśnie!

- A w tym czasie była już żoną hrabiego Celliniego.

- Tak, od trzech lat, pobrali się w Rzymie. Jej syn miał dwa lata, kiedy poznała mojego ojca.

Imeldra odetchnęła głęboko.

- Och, kochany, gdybyś to wiedział wcześniej!

- Ale wiem to teraz - rzekł markiz - i jestem wolny, a to tylko w tej chwili się liczy.

I pocałował ją czule.

- Opowiedz mi do końca całą tę historię i więcej nie będziemy o tym wspominać.

- Kiedy doprowadziłem do konfrontacji Jolie z inspektorem policji i kiedy jej powiedziałem, że wiem o jej matactwach, załamała się i przyznała, że wspólnie z bratem uknuli plan wyciągnięcia ode mnie pieniędzy, gdy się dowiedzieli o śmierci mojego ojca.

- Jakże to okrutne - wyszeptała Imeldra.

- Jolie postąpiła w ten sam sposób - mówił dalej markiz - z pewnym belgijskim baronem i arystokratą francuskim, którzy wypłacali jej pieniądze przez wiele lat.

- Co za przebiegłość - odezwała się Imeldra. - Jolie nie wątpiła, że będziesz chciał chronić dobre imię rodziny i pamięć twojego ojca.

- Masz całkowitą rację - zgodził się markiz. - Nie mogłem wprost znieść myśli, że mój ojciec, który stanowił dla mnie zawsze wzór uczciwości i szlachetności, ożenił się z moją matką, mimo że uprzednio wstąpił w związek małżeński z inną kobietą.

- Mogę sobie z łatwością wyobrazić, co czułeś - powiedziała Imeldra. - Jest to pewnie powód, dla którego pozostawiłeś ten kicz w swojej galerii obrazów.

- Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy - mówił spokojnie markiz - i ogarnęła mnie złość, że wygłaszasz o mnie tak niepochlebne opinie, już wtedy zdawałem sobie sprawę, że jesteś najpiękniejszą i najwdzięczniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Teraz możemy zdjąć ten kiczowaty obraz i zapomnieć o wszystkim.

- Oczywiście, że powinniśmy to zrobić - zgodził się markiz - lecz z drugiej strony sędzę, że powinienem go zachować, aby mi przypominał, że powinienem bardziej zawierzyć mojemu instynktowi i sercu niż rozumowi. Odetchnął głęboko, jakby chciał się odprężyć.

- Dziś rano wróciłem z Francji i zaraz przyjechałem tutaj. Chcę oznajmić twojemu ojcu, że potrzebuję ciebie nie mniej niż on. - Przytulił ją do siebie, a potem dodał: - To ty dałaś mi nadzieję, jeszcze zanim udało mi się rozwiązać mój problem i wydobyć się z dna rozpacz. Kochałaś mnie i zachęcałaś do czynu. Pragnę, żebyś robiła to do końca naszego wspólnego życia.

- Wiesz, że zawsze pragnęłam być ci pomocna - odrzekła Imeldra. - Ach, kochany, jak to wspaniale, że gorzkie i cyniczne myśli już cię opuściły. - Markiz przycisnął ją mocniej, a ona wyszeptała:

- Czy jesteś rzeczywiście pewien, że chcesz być ze mną?

- Jak możesz zadawać takie absurdalne pytania? Choć właściwie powinienem się na ciebie złościć za to, że ,mnie okłamywałaś, że nie powiedziałaś mi swojego prawdziwego nazwiska, ale przebaczam ci to.

- Nie chciałam tego robić, żebyś nie sądził, że musisz się ze mną ożenić - szepnęła.

- Jednak muszę to zrobić, bo nie mogę bez ciebie żyć - oświadczył. - Chodźmy teraz do twojego ojca, powiemy mu, że chociaż on ciebie potrzebuje, to jednak ja uważam cię za swoją.

Imeldra roześmiała się.

- Jeszcze tydzień temu obawiałam się, że papa mógłby cierpieć, gdyby został sam.

Markiz spojrział na nią pytająco.

- A teraz?

- Teraz papa zamierza się żenić z naszą dawną przyjaciółką, lady Marsden. Są obydwójce tak bardzo szczęśliwi, że zupełnie nie jestem im potrzebna.

- W takim razie - rzekł markiz - pobierzemy się jutro.

Imeldra wybuchnęła śmiechem.

- Jutro, dzisiaj, kiedy tylko sobie życzysz! - odparła. - Jedyne, czego pragnę, to być z tobą, kochać cię i nigdy więcej nie zaznać samotności.

Markiz przyciągnął ją do siebie i pocałował tak gwałtownie, że ogród, kwiaty i słońce zawirowały dokoła, i Imeldra nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o słodczy jego pocałunków.

- Czeka nas wiele zadań - powiedział pomagając jej wstać - lecz najpierw chodźmy do twojego ojca, żeby ustalić, gdzie weźmiemy ślub.

- W naszej kaplicy, gdzie byłam chrzczona - powiedziała Imeldra. - Papę będzie można tam zanieść na krzesło, żeby mógł oddać mnie tobie zgodnie ze zwyczajem.

- Koniecznie powinien to uczynić - powiedział markiz. - A gdy już będziesz moja, nie pozwolę ci nigdy odejść. Tego możesz być pewna.

- Jestem pewna, że będę cię kochać wiecznie - wyszeptała Imeldra. - Kochaliśmy się, kiedyśmy się jeszcze nie znali, i będziemy się kochać nadal.

Markiz spojrzał na nią z czułością, która odmieniła zupełnie jego twarz. Zniknął z niej cynizm, pojawiła się radość i szczęście. Płynęły od niego ku niej tajemnicze fluidy. Imeldra była przekonana, że i on ją widzi w magicznym świetle. Czują, jakby ich miłość była żywą siłą, która ich nigdy nie opuści.

- Kocham cię i podziwiam - rzekł markiz wzruszonym głosem. - Szukałem cię przez wiele lat i już straciłem nadzieję, że cię odnajdę. Teraz wiem, że Pan Bóg mi pobłogosławił i jestem Mu za to wdzięczny.

Imeldra wpatrywała się w jego oczy, wreszcie objęła go ramionami i przyciągnęła ku sobie.

- Przebrnęliśmy obydwójce przez wiele trudnych sytuacji - rzekła. - Teraz nie będzie już tajemnic, oszustw, zła, tylko

sama miłość. - Usta markiza zbliżyły się do jej ust, lecz ona mówiła dalej: - Naucz mnie, jak mam cię kochać, a Marizon stanie się najszcześniejszym miejscem na ziemi, nie tylko dla nas samych... dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy nas będą odwiedzać.

Czuła, że jej słowa wzruszyły markiza, bo jego ramiona przygarnęły ją mocniej. Kiedy ją całował, w jego pocałunku była nie tylko namiętność, ale i ekstaza, jakby w ich związku poza ludzkim był także boski element.

Imeldra wiedziała, że to prawdziwa miłość, jaką przeżywali jej ojciec i matka i o jakiej marzyła dla siebie, lecz nie wierzyła, że ją spotka.

Markiz stanowił część jej istoty, tak jak ona stanowiła część jego. Nie było już strachu i rozpacz, a tylko miłość, która rozpierała ich serca.

- Kocham cię, kocham! - powiedziała nie znajdując innych słów na wyrażenie swoich uczuć.

- Kocham cię także - odparł markiz. - Jesteś moja na zawsze!

Dokoła świeciło słońce, pachniały rozkosznie magnolie, a miłość zdawała się wypełniać cały ogród.

* * *

Markiz i markiza Marizon szli pod rękę pośród drzew w stronę morza. Morze miało barwę szmaragdowoniebieską. Nie było wiatru, a leciutki podmuch marszczył jego powierzchnię u podnóża skał na złocistym piasku. Słońce świeciło mocno, choć na horyzoncie widać było delikatną mgiełkę.

Imeldra oparła głowę na ramieniu męża i odezwała się:

- Jakże tu pięknie! Dlaczego tak długo nie odwiedzałeś tego uroczego zakątka?

- Czekałem, żeby przyjechać tu razem z tobą - odrzekł markiz. - Moja matka opuściła ten dom, kiedy zmarł jej ojciec. Nie chciałem przebywać tu samotnie z gorzkimi myślami,

gdyż byłem przekonany, że mój ojciec zawinił wobec mojej matki.

- Lecz miejsce to przez cały czas czekało na nasz miodowy miesiąc.

- Czy ci się tu podoba? - zapytał markiz. Spojrzała na niego, a on odniósł wrażenie, że nigdy jeszcze nie widział kobiety tak promieniejącej szczęściem.

- Od pierwszej chwili naszego przyjazdu tutaj jestem wszystkim oczarowana - rzekła. - Każdego wieczora, kiedy kładę się do łóżka, myślę, że nie można już bardziej kochać, a gdy się budzę rano, wiem, że Kocham cię jeszcze mocniej. Jestem taka szczęśliwa, jakbyśmy znajdowali się nie na ziemi, lecz w niebie.

- Ja czuję podobnie - odparł markiz. - Och, Kochanie, mamy tyle do zrobienia. Tyle rzeczy chciałbym ci pokazać, lecz teraz najważniejsza jest nasza miłość.

Uniosła twarz ku markizowi, a on całował jej usta, aż ogień zaczął ogarniać jej piersi i całe ciało. Bez słów powiódł ją z powrotem w cień drzew w stronę niewielkiego białego domu otoczonego ogrodem, który tak bardzo zafascynował Imeldrę.

Dom wypełniały cenne przedmioty należące do matki markiza. Znajdowały się tam liczne portrety przedstawiające markiza jako dziecko, a potem jako młodzieńca. W porównaniu z ogromem pałacu Marizon dom ten prezentował się skromnie i przytulnie i, jak się wyraziła Imeldra, stanowił doskonałe miejsce do spędzenia miodowego miesiąca. Zdawało im się, jakby tu zostali odizolowani od świata i jakby żadne niemiłe sprawy nie miały do nich dostępu.

Cała okolica zdawała się promieniować szczęściem i beztrąską. Imeldra czuła, że dopóki nie spotkała markiza, nie była sobą w pełni, czegoś jej brakowało. To on rozbudził jej ciało i umysł. To on wyostrzył jej instynkt i spostrzegawczość.

Każdego dnia odkrywali siebie na nowo. Każdego dnia i każdej nocy Imeldra była coraz bardziej zakochana.

Kiedy doszli do domu, Imeldra spojrziała na męża i bez słów wiedzieli, czego obydwójce pragną. Powoli wspieśli się po rzeźbionych bogato schodach do pokoju o łukowych oknach, z którego rozciągał się widok na drzewa i morze. Markiz zamknął drzwi, a Imeldra stała w niego wpatrzona.

- Myślę, że powinnaś kochanie odpocząć - powiedział - ja także położę się przy tobie.

Mówiąc to zdjął elegancką marynarkę i powiesił ją na krześle. Potem otoczył ją ramionami i zaczął całować, rozpinając jednocześnie guziki jej sukni. Opowiadając jej o planach dotyczących ich miodowego miesiąca powiedział, że zamierza zabrać ze sobą kilku starych służących z pałacu, lecz nie weźmie dla niej służącą.

- Będę cię obsługiwał osobiście, moja kochana - rzekł. - Obecność służącej byłaby krępująca.

- Czy temu podołasz? - zażartowała.

- Mam w tych sprawach duże doświadczenie.

- Nie mów tak, bo będę zazdrosna.

- Nie musisz być zazdrosna - powiedział. - Jeśli nawet były w moim życiu jakieś kobiety, to przyznam się, że nie pamiętam ich imion ani twarzy. Wydaje mi się, jakby nigdy nic dla mnie nie znaczyły.

- Zastanawiam się, czy ja zdołam cię zatrzymać przy sobie? - szepnęła.

- Jeśli w to wątpisz - powiedział - udowodnię ci to nie słowami, ale czynem.

Jego ręce zdjęły z niej suknie i osunęły na podłogę. Uniósł ją na ręce i Imeldra poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Ułożył ją na łóżku i przykrył prześcieradłem, a po chwili znalazł się obok niej. Imeldrze zdawało się, że słyszy dokoła muzykę jak wówczas w świątyni, kiedy ją pocałował po raz

pierwszy. Markiz objął ją, zbliżył twarz do jej twarzy, lecz nie całował jej, tylko wpatrywał się w nią chciwie.

- Co jest w tobie takiego - zapytał - że tak różnisz się od innych kobiet? Jesteś taka piękna, jakbyś była cząstką morza, nieba i kwiatów. Wydaje mi się, że jesteś nawet od nich piękniejsza.

- Chciałabym, żebyś zawsze tak o mnie myślał - wyszeptała. — Powiedziałeś kiedyś, że miłość jest piękna, i dlatego chcę ci się wydać powabna.

- Jesteś przepiękna! - rzekł markiz. - Tak urocza, że całe moje życie przemieni się w boski raj.

- Jak możesz mówić coś podobnego? - powiedziała Imeldra. - Pragnę tylko ofiarować ci miłość, którą potem przekazemy naszym dzieciom.

Markiz przytulił ją mocniej do siebie.

- Chciałbym ogromnie, żebyś mi dała syna - rzekł. - A jednocześnie wiem, że będę zazdrosny, jeśli będziesz kochała nasze dzieci więcej ode mnie.

Imeldra roześmiała się.

- Czy myślisz, że to możliwe? - zapytała. - Będziemy je kochali i nigdy nie będą się czuły samotne czy opuszczone, lecz ty zawsze w moim sercu będziesz zajmował pierwsze miejsce, bo całą duszą należę do ciebie.

- Czy mogę wejść w posiadanie tego, co mi ofiarowujesz?

- Wszystko, co mam, i czym jestem, należy do ciebie.

- Niczego więcej nie pragnę.

Pocałował ją namiętnie, a jednocześnie czule, jakby w obawie, że mógłby ją urazić. Pocałunek ten był inny i Imeldra odpowiedziała nań pełnym oddaniem. Czowała, że znów jej miłość ku niemu rośnie, że jest silniejsza niż wczoraj. Miłość ta była niczym fala wciąż i wciąż przyplływająca do brzegu. Słusznie powiedział markiz, że ich miłość oprócz ludzkiego pierwiastka ma również pierwiastek boski. Czując rosnące

podniecenie pod wpływem pieszczot i pocałunków, Imeldra przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Kocham cię, najdroższy, pragnę twojej miłości!

- A ja pragnę ciebie - odrzekł markiz głosem pełnym namiętności. - Jesteś moim sercem, duszą i moim życiem, lecz jesteś także kobietą. Moją kobietą!

- Kochaj mnie, kochaj - szeptała.

Muzyka ich serc stłumiła dźwięk ich głosów. Do pokoju przedostawał się szum fal morskich i zapach kwiatów, kiedy markiz na skrzydłach ekstazy prznosił ją ku słońcu. Była w nich obojgu tylko miłość, miłość, miłość.